WTOREK
Nr 111 23 IX 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

CZYTELNICY ŚWIATA MŁODYCH BUDUJĄ DAR MŁODZIEŻY

Brawo zuchy z Hufca Praga-Południe!

JAGODY na „Dar Młodzieży"

Warszawskie zuchy z Hufca Praga Południe wakacje spędzały w „Słonecznej Republice" w Ocyplu. W ramach zdobywania sprawności „Leśnika" i „Pomorzanina" zbierały jagody w okolicznych lasach. Dochód ze sprzedaży jagód w wysokości 1050 zł (słownie: jeden tysiąc pięćdziesiąt złotych) wpłaciły na konto budowy „Daru Młodzieży".

Komenda Obozu

Pozwolił określić wiek miast Inków

OBSYDIAN efektowny i twardy minerał archeologicznym zegarem

USA (PAP). Obsydian był jednym z najczęściej używanych materiałów w epoce kamiennej, służącym do wyrobu broni i narzędzi. Minerał ten, będący rodzajem szkliwa wulkanicznego odznaczał się dużą twardością, ale zarazem łupliwością. Po rozbiciu powstawały wióry o ostrych krawędziach, idealnych do wyrobu różnego rodzaju narzędzi tnących. Jednocześnie minerał ten miał efektowny wygląd, występując w różnych odmianach: od różowego – do czarnego. Z obsydianu wyrabiano kindżały i sierpy w epoce kamiennej na Bliskim Wschodzie i w Egipcie. Minerał ten wykorzystywały także starożytne kultury Ameryki. Niedawno stwierdzono, że za pomocą dokładnej analizy chemicznej można rozpoznać wiek i miejsce pochodzenia poszczególnych okazów obsydianu. W ten sposób np. ustalono dość dokładnie daty kolejnych faz ostatniego zlodowacenia na terenie Ameryki Północnej. Określono także daty powstania kilku starych miast, zbudowanych przez Inków w Ameryce Południowej. **(tok)**

NASZ CHLEB POWSZEDNI

str. 2

Tomasz Grabowski informuje:

Nowe w starym

W warszawskim ogrodzie zoologicznym dokonano renowacji jednego z najstarszych obiektów – pawiloniku małych ssaków. Obiekt jest tak dawny jak dzieje warszawskiego ZOO, powstał bowiem w pierwszym roku jego istnienia i na tyle szacowny, że został objęty opieką konserwatora zabytków. Renowację przeprowadzono w ten sposób, że budynek pozostał w swym pierwotnym kształcie, natomiast zmniejszając ilość klatek, znacznie je powiększono. Zlikwidowano również betonowe podłoże klatek. Umeblowanie konarami, wypróchniałymi pniami, kamieniami to dzieło opiekunów zwierząt: Henryka Madonia i Piotra Sieradzana. Na rezultaty poprawienia warunków przebywania zwierząt nie trzeba było długo czekać. Przed kilku dniami w nowym – starym obiekcie urodziły się jeżozwierze indyjskie.

Przyjdźcie koniecznie zobaczyć, jak śmiesznie wyglądają małe jeżozwierze z kilkoma miękkimi jeszcze kolcami na grzbiecie, biegające za matką po wybiegu!

Fot. **G. Lewińska**

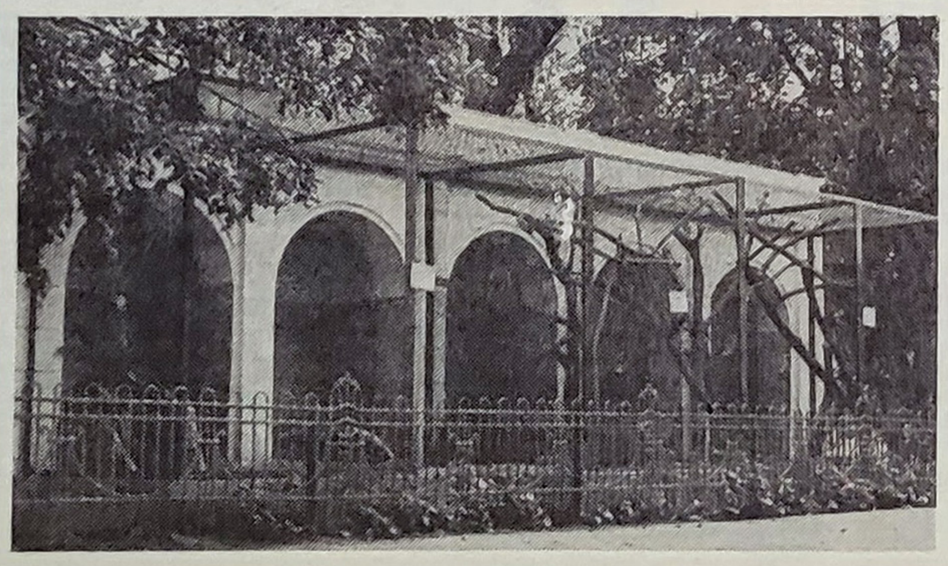

Zamiast uciekać przez komin

CIEPŁO SPALIN przyda się do SUSZENIA MATERIAŁÓW

GLIWICE (PAP). Zamiast ulatywać przez komin – ciepło ze spalin przemysłowych może być wykorzystane do suszenia materiałów sypkich. Umożliwia to suszarnia konwekcyjna, opracowana przez specjalistów z Politechniki Śląskiej oraz Instytutu Metalurgii Żelaza w Gliwicach. Pracujące już w kilku zakładach suszarnie nowego typu 10-krotnie zwiększają efektywność procesu suszenia. **(tok)**

TU ECHOSONDA...

Nasi Czytelnicy odpowiadają na pytanie:

Jaka byłaś, pierwsza klaso?

Na początku września ogłosiliśmy echosondę dla tych, którzy mają już za sobą pierwszą klasę szkoły średniej. Namawialiśmy, by opisali swoje kłopoty w pierwszej klasie i poradzili obecnym pierwszoklasistom jak je rozwiązywać. Na str. 3 i 4 drukujemy część wypowiedzi Waszych kolegów.

Z NIEUDANEGO – UDANE

Sadownik z tarnowskiego sam zrobił opryskiwacz jakiego nie było

TARNÓW (PAP). Ze złomowanej beczki mleczarskiej i pompy od nieudanego opryskiwacza konnego „Chmiel", który wycofany został z użycia, Stanisław Tadel – sadownik ze Świebona w woj. tarnowskim – skonstruował znakomity opryskiwacz: wydajny, łatwy w obsłudze i pracujący bezawaryjnie już od 4 lat. Urządzenie budzi ogromne zainteresowanie sadowników, pracuje bowiem znacznie lepiej od seryjnych „Ślęż" – mniej wydajnych i często się psujących. **(tok)**

ŻEBY NIE BYŁO NA UFO!

Co wiatr niesie?

WARSZAWA (PAP). Na naszym niebie można dość często zobaczyć balony meteorologiczne, brane niekiedy przez przygodnych obserwatorów za UFO. Polskie stacje aerologiczne w Legionowie koło Warszawy, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Łebie wypuszczają cztery razy w ciągu doby niewielkie baloniki z przymocowanymi do nich radiosondami, które badają górne warstwy atmosfery. Radiosondy przekazują dane o temperaturze, ciśnieniu i wilgotności atmosfery oraz kierunku i prędkości wiatru. Balony docierają przeciętnie na wysokość ok. 30 km – a niekiedy wznoszą się nawet do 40 km. Po rozerwaniu powłoki balonu pojemnik z radiosondą opada na małym spadochronie. Polskie balony meteorologiczne docierają dość daleko. Często wiatry znoszą je na odległość 200–300 km, zaś do Polski – pod Poznań i Wrocław – docierają balony meteorologiczne z NRD, a na południu kraju znajduje się często sondy pochodzące z CSRS. Silne wiatry zachodnie przynoszą czasami nad Polskę balony z Danii, a północne – ze Szwecji. **(kż)**

NORWESKA ŚWIĄTYNIA W BIERUTOWICACH

Ten norweski kościółek zbudowany został w XIII wieku w płd. Norwegii, w Vang. W 1841 roku zakupił go król pruski Fryderyk Wilhelm IV i polecił sprowadzić do Bierutowic. Po częściowej rekonstrukcji i przebudowie kościółek ustawiono na obecnym miejscu. Najcenniejsze oryginalne fragmenty budowli ozdobione są motywami z czasów Wikingów rzeźbionymi w norweskiej sośnie.

Fot. CAF – A. Bedlińska

O tym się mówi

INFORMATYKA I KOMPUTERY W SZKOLE

Bardzo źle został przez redakcję „Przeglądu Technicznego" (nr 26, 1.07.1979 r.) oceniony podręcznik informatyki dla kl. III liceum ogólnokształcącego o profilu matematyczno-fizycznym. Recenzent, Marek Kotowski, wytyka autorom tej książki liczne rażące błędy, niechlujstwo opisowe, niedbałość w posługiwaniu się terminami. Podręcznik został wydany stosunkowo niedawno, bo w roku 1977, ale już wykształciły się na nim prawie trzy roczniki licealistów. Jeśli w taki sposób zacznie się przygotowywanie przyszłej kadry informatyków to może się okazać, że niewielu będzie chętnych do podjęcia nauki tego zawodu na poziomie uniwersyteckim. Treści podręcznika podane są bowiem – jak pisze autor recenzji: *„w najgorszy, jaki może być, bełkotliwy sposób, straszący u nas tak często w różnych opracowaniach technicznych i będący najlepszą metodą na obrzydzenie uczniom informatyki na całe życie".*

Sprawa jest zresztą o wiele bardziej skomplikowana, gdyż dotyczy całego szkolnictwa średniego, a nawet w pewnym stopniu wyższego. Tak ją ocenia prof. dr Władysław Turski, szef VII Światowego Kongresu Informatyki w Toronto, dyr. Instytutu Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego.

„Przysposobienie informatyczne, tj. umiejętność korzystania z elementarnych środków i metod informatyki jest w końcu XX wieku potrzebne nie mniej niż umiejętność czytania i pisania w życiu społeczności przemysłowej. To może dać szkoła średnia. Ale szkolnictwu nie można postawić takiego zadania, nie dając odpowiedniego wyposażenia materialnego i intelektualnego. Nasze obecne szkolnictwo średnie nie ma bazy technicznej, komputerów, i nie ma też nauczycieli, którzy potrafiliby uczyć przysposobienia informatycznego. Nawet w szkolnictwie wyższym nie możemy wprowadzić powszechnego przysposobienia informatycznego z tych samych powodów (...). Jest to w Polsce zdumiewające, że szkolnictwo wyposażamy w ostatniej kolejności. (...) Jeśli dziś podejmiemy decyzję, że ze względów społecznych należy zainwestować w przysposobienie informatyczne i zainwestujemy ile trzeba – to i tak na społecznie odczuwalne skutki takiej decyzji przyjdzie poczekać kilkanaście lat. Ponieważ decyzji w tej mierze jeszcze nie podjęto, z całą pewnością wiemy, że w Polsce w tej dziedzinie społeczeństwo do ostatnich lat tego stulecia będzie niedokształcone. Bądźmi tego świadomi!" (Przegl. Tech. nr 30, 29.07.1979 r.)

NASZ CHLEB POWSZEDNI

W wiatraku stojącym na rozdrożu przy wjeździe do Krasocina na Kielecczyźnie powstaje muzeum chleba – jedyne w kraju i zapewne jedno z nielicznych na świecie. Od pługa po bochen chleba – takie tu będą eksponaty, ale osadzone w rytmie życia i pracy ludzkiej. Zgromadzono już wiele tych narzędzi – drewniany pług, radło, dzieże, żarna, komplet glinianych garnków, stroje. Wszystko robią ludzie w Krasocinie bez jakiejkolwiek dotacji, własnymi rękami – z inicjatywy działacza społecznego i twórcy ludowego, Franciszka Raka z Borowca.

(„Życie Warszawy" z dnia 28 marca 1980 r.)

Czy zdarzyło się Wam zapomnieć zwrotki wiersza, ale to tak dokumentnie, że nie pomogły żadne wysiłki pamięci do przypomnienia sobie tego fragmentu? Chyba tak, więc wiecie, jak to męczy. Właśnie coś takiego przydarzyło mi się, kiedy chciałem wyrecytować „abecadło", które pamiętałem sprzed wojny. Zapomniałem! Po długich poszukiwaniach starych elementarzy poszedłem do biblioteki (w Warszawie, na Koszykową) – i dzięki pomocy miłej pani „abecadło" znalazłem... w podręczniku dla pierwszej klasy, wydanym w 1941 r. dla dzieci polskich w Związku Radzieckim:

A B C – chleba chcę!
Lecz i wiedzieć mi się godzi,
Z czego też to chleb się rodzi?

Z mąki, powiecie – i słusznie, tylko trzeba dodać: z mąki pszennej lub żytniej. Ryż, jęczmień, owies, kukurydza, proso – są używane przez ludzi od dziesiątków tysięcy lat w postaci papki, prażonych ziaren, a nawet „chleba", a raczej placków czy podpłomyków. Chleba, jaki znamy, z ziaren tych roślin upiec nie można...

D E F – najprzód siew.
Rolnik orze ziemię czarną
I zasiewa na niej ziarno.

Nie zawsze tak było. Kilkadziesiąt tysięcy lat temu, kiedy ludy pierwotne zajmowały się myślistwem, rybołówstwem i zbieractwem, rolnictwo ograniczało się do pielęgnowania roślin na miejscu znalezienia. To kobiety odkryły siew i uprawę zbóż. Mężczyźni włączyli się do tego zajęcia po oswojeniu zwierząt – siłą pociągową były woły, wynaleziono radło i sochę. Od koczownictwa do rolnictwa musiało upłynąć 50 tysięcy lat. Na ziemiach polskich uprawiano rolę już sześć tysięcy lat temu.

Stwierdzono, że ojczyzną pszenicy były kraje europejskie i afrykańskie leżące nad Morzem Śródziemnym; jęczmień, żyto i owies pochodzą z Turcji i Iranu, proso z Chin, ryż z Indonezji i Półwyspu Indochińskiego, wreszcie kukurydza rozpoczęła podbój świata od Peru i Chile.

Sposoby uprawy roli zmieniły się, narzędzia udoskonaliły. Jak wielka jest różnica między sochą a wieloskibowym pługiem, ciągniętym przez traktor, między prymitywnym kościanym sierpem a kombajnem „Bizon super"!

G H I – z ziemi tej,
Gdy deszczyki przyjdą z wiosną,
Bujne kłosy wnet wyrosną.

Niestety, „bujne kłosy" zależą nie tylko od deszczu. Dzisiejsze gatunki zbóż dają wyższe plony niż te sprzed tysięcy lat, a nawet sprzed lat kilkunastu.

Plon zależy jednak nie tylko od gatunku ziarna, lecz także od wielu innych czynników: pogody, zabiegów agrotechnicznych, a przede wszystkim od stosowania nawozów i środków ochrony roślin. Bez nawozów sztucznych ludzkość głodowałaby znacznie bardziej, niż obecnie – klęska głodu objęłaby nie tylko kraje zacofane, lecz całą kulę ziemską. Dzięki chemii zbiory są coraz lepsze – jeszcze dwadzieścia lat temu zbierano zaledwie 14–17 kwintali pszenicy z hektara, teraz plony 30 q/ha nie są uważane za wyjątkowe. Ale wtedy stosowano do 12 kg nawozów azotowych, fosforowych i potasowych (w przeliczeniu na czysty składnik), teraz ponad 200 kg na hektar!

J K L – żniwa cel!
Ze spichrza od gospodarza
Wiozą zboże do młynarza.

Zmieniły się czasy – teraz „gospodarz" sprzedaje zboże do spichlerzy państwowych. Ziarno utrzymuje się w nich we właściwej temperaturze i wilgotności, przewietrza się, chroni przed szkodnikami. W 1979 r. zbiory czterech zbóż (pszenicy, jęczmienia, żyta i owsa) wyniosły: w gospodarce uspołecznionej 3,5 mln t (z 1,4 mln ha), w gospodarce indywidualnej 11,8 mln t (z 5,6 mln ha). (Rocznik Statystyczny 1980)

M N O – zboże to
Za obrotem kół z kamienia
W białą mąkę się przemienia.

Pamiętacie z lektury „Potopu" żmudzińskie żarna w dworku Billewiczów? Podobną zasadę mielenia zastosowano w wiatrakach i młynach wodnych. Ziarno wsypuje się przy osi koła kamienia młyńskiego z granitu, skąd rozcierane wznosi się stopniowo ku obrzeżu. W nowoczesnych młynach stosuje się zgniatanie ziarna między wałkami – spadając na kolejne wałki ziarno zmienia się w pył.

Mąkę oddziela się od łusek, stanowiących zewnętrzną część ziarna. Po 4–7 przemiałach mąka jest bielutka, ale pozbawiona najcenniejszych składników: białek, tłuszczów i soli mineralnych (oczywiście nie wszystkich, lecz dużej części). Już pod koniec XVI wieku pisał Tomasz Tryon: *„Kto ceni zdrowie i chce być wierny naturze,*

KRZYSZTOF GUTORSKI

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Sztuka pieczenia chleba przyszła na ziemie polskie z Egiptu przez Grecję i Rzym. Pierwsze cechy piekarzy powstały: w Poznaniu – 1253 r., w Krakowie – 1358 r., w Warszawie – 1520 r.

SKŁADNIKI MĄKI

gluten w mące pszennej 10–15%, w żytniej 6–12%. Wpływa na elastyczność ciasta, jego sprężystość i gąbczastość, co ułatwia zatrzymanie wydzielających się gazów spulchniających ciasto. Brak glutenu w mące ryżowej, jęczmiennej, kukurydzianej itd. jest przyczyną, dlaczego ciasto z nich nie „rośnie".

skrobia w mące pszennej do 82%, w żytniej 78%. Nie rozpuszcza się w zimnej wodzie, przy podgrzaniu z wodą pęcznieje i razem z glutenem daje kleistą masę.

cukier w mące pszennej 0,5 – 8,5%, w żytniej do 5%, stanowi pożywkę dla drożdży, dzięki którym ulega fermentacji.

woda zwykle 10–15%

tłuszcze do 2%, głównie w warstwach zewnętrznych (przy łusce) i w zarodku ziarna.

sole mineralne do 2,2%

witaminy z grupy B, D, E, PP

Palisz, zdrowie tracisz...

W paryskiej szkole podstawowej zawisły na ścianie plakaty. Są to nie tylko dzieła francuskich grafików i rysowników. Amerykański sympatyczny kotek zaciąga się dymkiem z papierosa. U dołu napis: „Lecz on żyć będzie w dziewięciu wcieleniach...". Obok twarz-maska, osnuta dymem; w dwóch palcach niedopałek i ostrzeżenie: „Kurisz, siebja gubisz!".

Po korytarzu chodzą dzieci, przyglądają się afiszom, robią uwagi, a potem same rysują antynikotynowe historyjki. To właśnie do nich – „generacji tworzącej nadzieję" – apelował francuski minister zdrowia i opieki społecznej Jacques Barrot, otwierając kolejną antynikotynową kampanię. Poprzednie, prowadzone jeszcze przez panią minister Simone Veil, adresowane były do dorosłego społeczeństwa. Socjologiczne ankiety wykazały jednak, że tamte jesienne akcje „Anti-tabac" przyniosły niewielkie rezultaty. Wśród tych, którzy pozbyli się nałogu przeważają bowiem odświętni palacze.

Teraz więc „uderzono" w uczniów szkół podstawowych, bowiem to oni właśnie mogą niedługo sięgnąć po swój pierwszy papieros. Chodzi zaś o to, by nie sięgnęli i nie dali palić także rodzicom. Stąd apeluje się do dzieci najczęściej w prawie „dorosły" sposób. Plakaty przeznaczone dla starszych generacji są znakomicie przyjmowane i rozumiane przez dziesięciolatków. Pogadanki lekarzy wywołują zaskakująco dojrzałe pytania i reakcje słuchaczy. Również telewizja przeniosła szereg antynikotynowych audycji na godziny tzw. młodzieżowego odbioru. Czy generacja ta spełni nadzieje w niej pokładane – zobaczymy za kilka lat.

Tymczasem dorośli Francuzi palą dużo, choć coraz powszechniej zdają sobie sprawę w niebezpieczeństwa tkwiącego w dymku z papierosa. W przededniu Wielkiej Rewolucji Francuzi wypalali już 228 gramów tytoniu na głowę, u progu naszego stulecia ponad 900 g, czyli miliard papierosów rocznie. Po drugiej wojnie światowej palono we Francji już 30 razy więcej, a w 1978 roku sprzedano w tym kraju 83 mld papierosów!

Według badań prowadzonych przez Krajowy Instytut Zdrowia i Badań Medycznych (INSERM) rocznie 70 tys. Francuzów umiera z powodu „nadużycia nikotyny". Tak, tak, określenie to jest już powszechnie używane. Największe żniwo zabiera rak płuc i gardła (33 tys.), choroby układu krążenia (20 tys.) i chroniczny bronchit (15 tys.). Przed ośmiu, a potem przed czterema laty prowadzono badania nad kosztami leczenia chorych na bronchit przewlekły, spowodowany głównie paleniem tytoniu. Okazało się, że aż dwa miliony Francuzów cierpi na tę chorobę i że papierosowy bronchit kosztował tylko w 1975 roku 3 mld franków.

Coraz powszechniejsza we Francji krucjata antynikotynowa spowodowała natychmiastowy, często cyniczny odzew międzynarodowych koncernów tytoniowych. Firma „Seita" – monopolistka na francuskim rynku – odpowiadając na kampanię lekarską przeciwko paleniu rozpowszechnia ulotkę reklamową tej treści: „Trzeba dwudziestu lat (palenia?! – AB), aby powstał rak płuc lub przełyku. W ciągu dziesięciu lat ta straszna choroba będzie opanowana. Niczego nie ryzykujecie. Nie pozbawiajcie się więc przyjemności palenia...".

Do młodzieży, może trochę starszej od 10-latków kończących szkołę podstawową, adresowane są przez koncerny papierosowe różne „złote myśli" wielkich nazwisk z historii kultury. Oto Bernard Shaw, który dręczony przez entuzjastkę niepalenia miał powiedzieć: „Rzucić palenie? Nic łatwiejszego. Robiłem to więcej niż tysiąc razy...".

Kto kogo? Na razie każda ze stron twierdzi, że wygrywa. Ministerstwo Zdrowia, powołując się na dane statystyczne, stwierdza powolny spadek wzrostu sprzedaży papierosów we Francji. „Seita" – omawiając te same dane, komentuje je głównym kryzysem i zmianami demograficznymi społeczeństwa francuskiego...

Najważniejsze jest jednak to, aby udało się zniechęcić do palenia najmłodszą generację. Czy rzeczywiście wybierze ona „zdrowie" w najczęściej powtarzającym się haśle-sloganie antynikotynowej kampanii: „Palisz, zdrowie tracisz"...

ANNA BIELECKA (Interpress)

Teodor Niewiadomski w 1938 roku w mundurze 30 pp Strzelców Kaniowskich

„TOJO" medalista z Langwasser

W niewielkim mieszkaniu przy ulicy Podskarbińskiej w Warszawie mieszka człowiek, którego nazwiska próżno szukać w olimpijskich kronikach. A jednak ten, dziś już 66-letni warszawiak od trzech pokoleń, czterdzieści lat temu zdobył dla barw Polski złoty medal. Szczególny medal, bo... z tektury, okolony wieńcem kolczastego drutu. Ale tego tekturowego medalu nie oddałby nawet za kilogram czystego złota, zdobył go bowiem na jedynych w swoim rodzaju igrzyskach.

Kiedy Halina Konopacka startowała na amsterdamskiej olimpiadzie, „Tojo" miał już 14 lat. Sport lubił ponad wszystko, mierzył swoje możliwości w różnych konkurencjach i dyscyplinach, ale jakoś bez większych sukcesów. Podobnie było na igrzyskach mokotowskich szkół powszechnych. Taka „Pyrka" – Miecia Kania, a zajęła pierwsze miejsce w dysku i od tego czasu nazywano ją „Konopacką". A on, Teodor Niewiadomski, popularny „Tojo", przegrał nawet bieg w workach.

Tuż przed wybuchem wojny „Tojo" kopał piłkę w drużynie Mokotowskiego Robotniczego Klubu Sportowego „Kongresówka". Nie, nie zaliczał się do gwiazdorów stadionów, ale z drużyną awansował do klasy „B". Najlepszym graczem „Kongresówki" i ulubieńcem mokotowskich kibiców był Fritz Buchheim, rodem z Lipska. Pan Teodor Niewiadomski wspomina go dziś nie dlatego, że był klubowym królem strzelców. Ale o tym później.

Wojna rzuciła „Toja" na front. Z tamtego wrześniowego wojowania pozostał mu stopień plutonowego i niezbyt sprawna noga. Ranny dostał się do niewoli i wkrótce za druty Stalagu IXA w Ziegenhein. W filii tego obozu – Wildflecken – budował linię kolejową. Wykorzystał nadarzającą się okazję i uciekł wraz ze Stachem Pawlikiem. Schwytano ich na przedmieściu Poznania i osadzono w poznańskim gestapo.

– Wiosną 1940 roku – wspomina pan Teodor – przesłano mnie do Stalagu XIIIA w Langwasser, do karnej kompanii. Tu bogiem wszystkich i wszystkiego był otyły feldfebel Fritz Schlappke, bestia w ludzkim ciele. Godzinami maltretował jeńców karną żabką. W ciągu miesiąca wyskakałem niezliczoną ilość żabek, ale jeszcze wtedy nie wiedziałem, że odbywam swoisty przedolimpijski trening.

O przygotowywanych igrzyskach olimpijskich w obozie dowiedział się dopiero po powrocie do „normalnej" kompanii. Spotkał tu kolegę z czynnej służby, plut. Słomczyńskiego.

– „Słoma" był inicjatorem igrzysk i głównym ich organizatorem. W baraku, w którym starszym był fryzjer z Łowicza Wacław Gąsiorowski, odbywaliśmy nocne spotkania komitetu organizacyjnego Internationales Jeux Olimpiques des Prisonniers de Guerte. Tu poznałem wachmana z lazaretu, Rogera Viriona i Anglika O'Briena, który później został prezydentem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Virion, którego matka była Polką, był dla nas ochroną i wykonawcą wielu pomysłów.

Postanowiono, iż otwarcie igrzysk nastąpi w przeddzień rocznicy wybuchu II wojny światowej, w małej izdebce-izolatce. Niemcy panicznie bali się tyfusu, toteż Virion wywiesił na drzwiach izolatki tablicę z napisem: „Achtung! Eintritt streng verboten! Fleckfieber!" On też postarał się o to, aby wszyscy „zachorowali" na tyfus.

W dniu 31 sierpnia 1940 roku w obozowej izolatce zebrał się komitet organizacyjny igrzysk, któremu przewodniczył O'Brien oraz reprezentacje siedmiu uczestniczących w igrzyskach państw: Anglii, Belgii, Francji, Holandii, Jugosławii, Norwegii i Polski. I choć te igrzyska odbywały się w całkowitej konspiracji – nie zabrakło olimpijskiej flagi, medali i dyplomów, a nawet ręcznie wykonanych znaczków pocztowych.

– Ślubowanie złożył Jan Cioch, które zaczynało się od słów: „W imieniu wszystkich sportowców, których stadiony ogrodzono kolczastym drutem..." Zapaliliśmy znicz wykonany z puszki od konserw, napełnionej tranem. Polska ekipa odśpiewała cicho hymn olimpijski, którego słowa napisał fryzjerski mistrz, Wacław Gąsiorowski.

Tak się zaczęła Olimpiada'40. Po ceremoniale otwarcia do akcji wkroczył Roger Virion, główny i jedyny sędzia tych igrzysk. Inaugurujący igrzyska mecz siatkówki między Belgią i Holandią odbywał się na przyszpitalnym placyku. Siatkę imitował sznur z rozwieszoną bielizną. Pierwszego seta wysoko wygrali Belgowie i na tym ta konkurencja się zakończyła. Do akcji wkroczyli wachmani.

– Wyścig kolarski rozegraliśmy... w izolatce. Virion z drewnianego bębenka i gwoździ wykonał kilometromierz, dwa taborety połączył ramą motoroweru i „wyścigówka" gotowa. Każdy zawodnik kręcił przez pięć minut. Złoty medal zdobył Belg, który osiągnął szybkość 25 kilometrów i 200 metrów na godzinę. Pchnięcie kulą, a właściwie brukowcem, rozegraliśmy w trakcie remontowania obozowej drogi. Złotym medalistą został Rosjanin Fiodor, który z grupą Serbów walczył w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii. Medal przyznano więc Jugosławii.

W tej gmatwaninie ludzkich losów niełatwo było ustalić kto jakie państwo reprezentuje. Ot, choćby taki Antoine Struś Polako-Francuzo-Senegalczyk, który zdobył złoty medal w strzelaniu z łuku. Do niewoli dostał się w mundurze francuskim, to i medal przyznano Francji.

Skok przez kanał melioracyjny z najmniejszego rozbiegu wygrał Norweg. Reprezentant Polski, Jan Cioch, zajął trzecie miejsce. Ale w szóstej i zarazem ostatniej konkurencji – biegu karną żabką na dystansie 50 m, zwyciężył „Tojo" – Teodor Niewiadomski, jeniec numer 4510 Stalagu XIIIA w Langwasser na przedmieściu Norymbergii.

– Okazało się, że trening na „obozie kondycyjnym" w karnej kompanii opasłego Schlappke przydał się. Tę konkurencję rozegraliśmy niemal jawnie. Virion „ryczał" na nas udając srodze rozwścieczonego. Nawet niewtajemniczeni jeńcy dzwili się, że ten zwykle dobroduszny wachman tak się odmienił.

I znowu wszyscy „chorzy" na tyfus zebrali się w izolatce, by dokonać uroczystego zamknięcia Olimpiady-symbolu. Rozdano medale i dyplomy, dokonano też oceny konkursowych plakatów i wierszy o tematyce olimpijskiej.

Nie przeszły jednak te igrzyska bez ofiary. Wachmani znaleźli olimpijski medal Fiodora i zakatowali go na śmierć. Nie miał też szczęścia Wicek Kiełb, który w tych igrzyskach zdobył nagrodę specjalną. Wachmani wybili mu jedyne oko i do domu wracał z białą laską ślepca.

– Wydrążyliśmy w tej lasce otwór, w którym Wicek przemycił do kraju olimpijską flagę. Pozostałe pamiątki przesłał do Warszawy wachman Virion, na adres wspomnianego piłkarza „Kongresówki" Fritza Buchheima. Mimo ogromnego ryzyka Fritz przechował je w swoim mieszkaniu na Okopowej, a później przekazał mojej matce. Ukryła je w skrytce wydrążonej w stolnicy.

Nadpaloną stolnicę odnalazł pan Teodor Niewiadomski w styczniu 1945 roku, w gruzach domu. Pamiątki przetrwały czas wojny nienaruszone. Lekko utykający, ale pełen werwy „Tojo" spotyka się dziś z młodzieżą szkol-

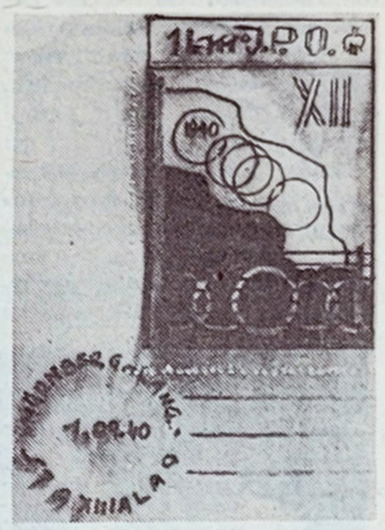

Jeden z sześciu okolicznościowych znaczków pocztowych wykonanych przez polskich jeńców

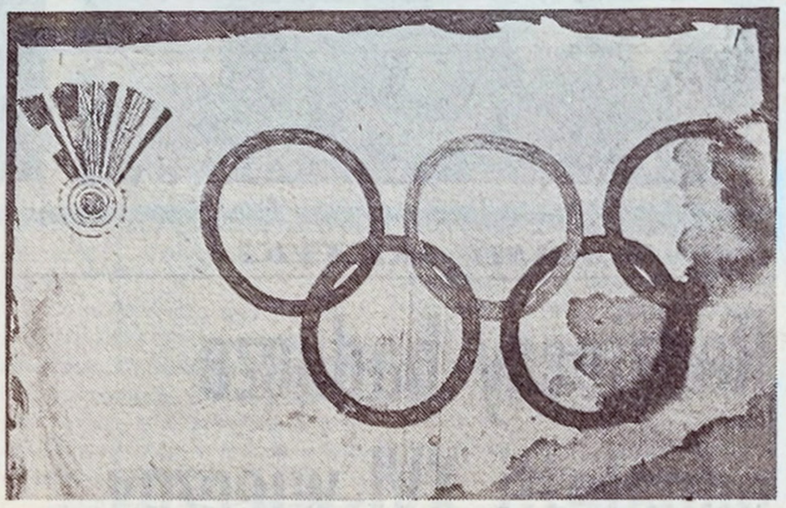

Flaga olimpijska wykonana z jenieckich koszul

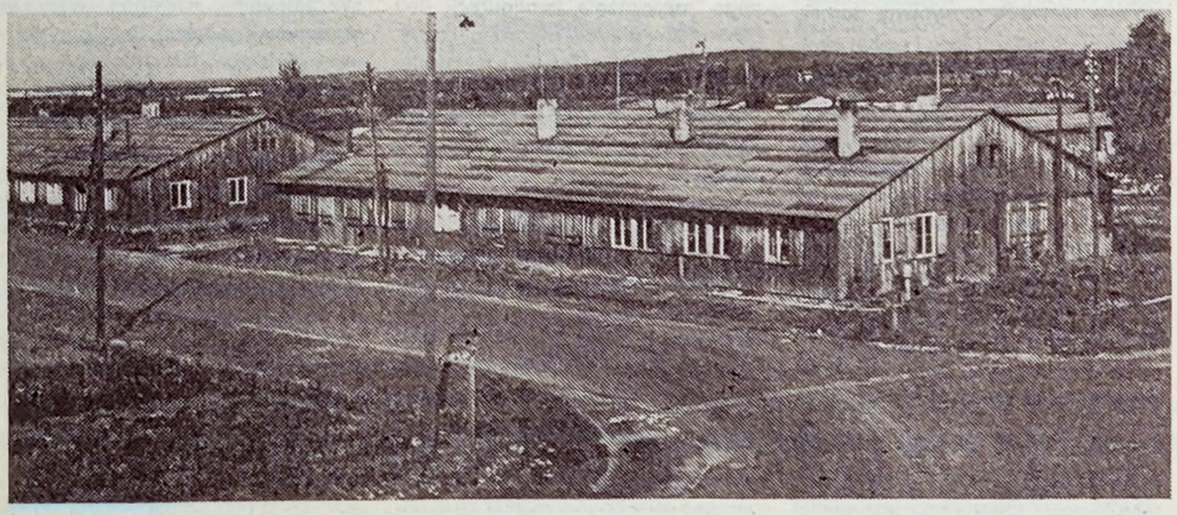

Baraki Stalagu XIIIA w Langwasser (zdjęcie z 1949 roku). Na pierwszym planie barak, w którym mieściła się obozowa izolatka (białe okno), miejsce otwarcia i zamknięcia igrzysk

ną i sportowcami, opowiada o „Olimpiadzie, której nie było..." – to tytuł napisanej przez niego książeczki. Wszedł też na ekrany naszych kin film o tamtej jenieckiej olimpiadzie, pt. „Olimpiada '40".

A jednak się odbyła, ta właśnie w Stalagu XIIIA w Langwasser – Olimpiada-symbol, w imieniu wszystkich tych, których stadiony ogrodzono kolczastym drutem...

RYSZARD RATAJCZYK
Zdjęcia z prywatnego archiwum p. Teodora Niewiadomskiego

Jaka byłaś, pierwsza klaso?

CZEGO RENATA SIĘ BAŁA?

Bałam się iść do nowej szkoły, mimo że znałam trochę ludzi z LO, mimo że szła ze mną moja najlepsza koleżanka. Obawiałam się nowej klasy, nowych ludzi, nowych nauczycieli. Bo a nuż ludzie okażą się dziwni, a może bardziej przystosowani niż ja; może klasa okaże się niezgrana, podzielona na internat i „miejscowych"; może nowi profesorowie okażą się straszliwie wymagający i choć w podstawówce nie miałam kłopotów, tu z trudem dam sobie radę? Nie mogę powiedzieć, że te wątpliwości rozwiały się od razu. Fakt, że zostaliśmy przyjęci w poczet uczniów bardzo serdecznie, ale został lęk przed pierwszymi lekcjami. A na nich okazało się, że... nie taki diabeł straszny jak go malują. Nowi nauczyciele, a w tym i mój obecny wychowawca, robili wszystko, żebyśmy nie czuli się przeraźliwie obco w nowej szkole. W tym roku łatwiej nam było przyjść 1.IX do szkoły, w znajome mury, do znajomych klas. A na twarzach pierwszoklasistów zauważyliśmy identyczne jak u nas przed rokiem miny, opuszczone nosy. No i wydaje mi się, że każdy pomyślał o pierwszakach z sympatią. Renata ze Skwierzyny.

NAUKA NA KLASÓWKI NIE WYSTARCZY

Już po kilku dniach przekonałam się, że I klasa, to zupełnie co innego niż szkoła podstawowa. W „podstawówce" uczyłam się tylko na klasówki i gruntowne pytania (co zresztą wiele osób praktykuje). To mi zupełnie wystarczało. W pierwszej klasie LO z przyzwyczajenia kontynuowałam ten sposób... i dostałam porządnie w kość. Posypało się sporo dwójek. Byłam bliska załamania. Najwięcej trudności miałam z fizyką i matematyką. Z pomocą przyszedł kuzyn, który dawał mi korepetycje z tych przedmiotów. Oprócz tego rozwiązywałam zadania, a przede wszystkim pilniej uważałam na lekcjach. W rezultacie na koniec pierwszej klasy miałam czwórki. Chociaż nie było wcale łatwo, bo nauka zajmowała mi więcej czasu, a nie chciałam zrezygnować z uprawiania tenisa stołowego. Gośka z Gdańska.

KRZYŚKA NAJLEPSZY SPOSÓB NA NAJGORSZE LEKCJE

Jestem na kierunku mechanik-kierowca. Najwięcej problemów w pierwszej klasie miałem z rysunkiem zawodowym i technologią. Pewnie dlatego, że przedtem nigdy nie miałem z nimi do czynienia. Nie wiedziałem jak się do tego zabrać. Pierwsze lekcje były czymś strasznym. Poświęcałem tym przedmiotom cały czas, zaniedbując pozostałe. Tak też nie mogło być. Spróbowałem więc inaczej, by z wszystkimi przedmiotami być na bieżąco. Pomogło. Rozplanowałem sobie wszystko tak, że zawsze po skończeniu rysunku, technologii czy innych przedmiotów, już w domu, zaraz po przyjeździe ze szkoły, powtarzałem daną lekcję raz, albo i dwa razy. I wiadomości zostawały w głowie. Gdy przychodziła następna lekcja z tego przedmiotu, wystarczyło, żebym powtórzył raz i już byłem przygotowany. Moim zdaniem jest to najlepszy sposób na najgorsze dla ucznia lekcje. Ten sposób zdał u mnie egzamin, więc myślę, że zda i u was. Oceny będą na pewno pozytywne, czego Wam, pierwszoklasiści, życzę, bo wiem co się czuje, gdy ocena jest taka jak trzeba. Krzysiek.

JAK ZABRAĆ GŁOS?

Bardzo ważną sprawą jest opinia. Nie należy być zbyt głośnym, pełnym werwy, siedzieć jak przysłowiowa mysz pod miotłą też nie! Kiedy w tamtym roku znalazłam się w szkole średniej,

CIĄG DALSZY NA STR. 4

NUUDNO...

Miejscowość X. nie jest duża. Kiedyś była siedzibą powiatu, teraz – po prostu miasto. A raczej miasteczko. Ładne, szczególnie gdy ogląda się je w promieniach wrześniowego słońca. Wygląda wtedy... radośnie. Takie przynajmniej było moje wrażenie, gdy przyjechałam do X.

Jest w X. kilka szkół podstawowych, liceum ogólnokształcące – znane i z tzw. tradycjami, jego uczniowie odnoszą rokrocznie sporo sukcesów w różnych konkursach oraz gigantyczny zespół szkół zawodowych obsługujący nie tylko młodzież z X., ale i z całej okolicy. Zespół też poszczycić się może pięknymi tradycjami. Jego protoplastą była znana szeroko szkoła rzemiosł, która działała już dobre parę dziesiątków lat temu. Dziś uczy się w tym gigancie ponad 2 tysiące uczniów. Kilkaset dziewcząt i chłopców spośród nich tworzy szczep HSPS złożony z 25 drużyn. Jeden z dwóch szczepów HSPS w miejscowości X. Ten drugi działa przy LO. Opinia głosi, że szczep przy ogólniaku jest lepszy, prężniejszy, co nie znaczy, że ten przy zespole jest zły. Jest on po prostu przeciętny. Mając do wyboru możliwość wizyty w jednym lub drugim wybrałam ten przeciętny. Takich – pomyślałam sobie – jest przecież najwięcej i jeśli chcę się zorientować, jak starsi harcerze startują w nowy rok pracy, mam szansę odnieść wrażenie bardziej odpowiadające powszechnej rzeczywistości. Czy tak się stało? Nie wiem...

Był trzeci dzień września, środa, trzeci dzień nowego roku szkolnego

Druh szczepowy prowadząc do harcówki tłumaczy, że trochę tam panuje rozgardiasz, ale harcerze podjęli się rozprowadzania podręczników, no i siłą rzeczy tam właśnie zorganizowany został rodzaj szkolnej księgarni. Podoba mi się organizacja sprzedaży.

Podoba mi się również harcówka, a właściwie – kompleks harcerski, bo pomieszczeń jest kilka. Drewniane boazerie z surowego drzewa, wykonane w formie wiejskiego płotu, nadają wszystkiemu wiele ciepła. Nic a nic się nie czuje, że to piwnica. Dziś. Niecały rok temu wyglądało to całkiem inaczej. Po prostu – źle. Tak źle, że mało kto wierzył, iż się da w ogóle jakoś ten podarowany harcerzom lokal zagospodarować. Paru entuzjastów zapaliło jednak do pomysłu i resztę. Najpierw powstawały różne projekty, potem były przymiarki na ile te projekty są realne do realizacji. Jak już podjęto decyzję, zaczęło się szukanie odpowiednich materiałów, a dalej potoczyło się wszystko „z górki". Wszak w szczepie jest wielu przyszłych specjalistów w różnych dziedzinach, budowa więc harcówki była okazją do sprawdzenia swych zawodowych umiejętności.

Sprawdzian wypadł doskonale. Roboty było i owszem, ale za to teraz można to z dumą każdemu odwiedzającemu pokazywać. O, tu mamy salę projekcyjną (z pełnym wyposażeniem!), tutaj gabinet metodyczny, tutaj sala narad, pomieszczenia klubowe, a tu – kominek. Kominek (prawdziwy, można w nim palić!) zajmuje jeden róg największego pomieszczenia. Pieńki brzozowe ustawione pod ścianami-płotami dodają mu malowniczości i nastroju.

Nie zapaliliśmy kominka, zajęła nas rozmowa A może trzeba było go zapalić? Nie wiem...

Rozmawiamy w kilkanaście osób. Z różnych klas, z różnych drużyn. Dwójka drużynowych, poza tym sami szeregowcy. Ta właśnie grupa była razem w lecie na obozie, uczestniczyli w Operacji „Morena", organizowanej przez Gdańską Chorągiew ZHP.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Jaka byłaś, pierwsza klaso?

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

strasznie się bałam, a w duchu marzyłam, że nie jestem nieśmiała, że mam osiągnięcia w nauce, że jestem kimś ważnym. Na lekcjach brakło mi słów, nie umiałam zabierać głosu w dyskusjach, nawet z kolegami. Poza tym zacinałam się, czerwieniłam. Przeszkadzały również braki z niektórych przedmiotów, głównie z matematyki, fizyki, chemii i w-fu. Z czasem nauczyłam się zabierać głos. Po prostu pomogły mi w tym nowo poznane koleżanki ze starszych klas. Rozmawiałam z nimi bardzo dużo na różne tematy. Braki częściowo nadrobiłam i mogłam powiedzieć o sobie: jestem innym człowiekiem. Dorota z woj. lubelskiego.

TA PRZYJEMNOŚĆ – NAUKA

W tamtym roku chodziłam do LO, a jednocześnie do Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia. Poprzednio w podstawówce i ognisku muzycznym otrzymywałam większość ocen bardzo dobrych. Niestety, tak jak w większości małych miast poziom nauki nie był wysoki. Gdy poszłam do LO w większym mieście i zamieszkałam w internacie, nie było mi łatwo. Od razu moje oceny spadły na słabe dostateczne, z małymi tylko wyjątkami. Początkowo przejmowałam się tym bardzo, często płakałam, chciałam zrezygnować. Ale ukończyłam pierwszą klasę dużo lepiej, niż początkowo się zapowiadało. Niestety, ze względu na stan zdrowia musiałam zrezygnować ze szkoły muzycznej, a naukę w liceum kontynuować w moim mieście. Teraz mam o wiele mniej roboty. Ale tamten rok wspominam mile. Chociaż byłam z dala od domu i chociaż nie dosypiałam nocy. Myślę, że warto się dużo uczyć, gdy odczuwa się wewnętrzne zadowolenie. Wierzcie mi, że wtedy nauka robi się przyjemnością. Nie trzeba się martwić ani załamywać. „Drugoklasistka".

ZDANIEM CZWARTOKLASISTKI

Moi drodzy, nie bójcie się, wystarczy odrobina silnej woli i dobrych chęci, a pierwsza klasa minie bez problemów. Myślicie, że morały prawię? Wcale nie! Moje wspomnienia są niezbyt świeże, ponieważ uczę się obecnie w IV klasie. Pamiętam, bałam się liceum do tego stopnia, że cały tydzień przed rozpoczęciem roku śniła mi się ta szkoła. Potem, gdy pierwszy raz przeszłam przez bramę, myślałam, że wszyscy patrzą tylko na mnie i czekają aż popełnię jakąś gafę. To mi minęło dopiero po kilku miesiącach. Teraz śmieję się z siebie. Problemy? Są w każdej klasie, nie tylko w pierwszej. Jest tylko jedna recepta – uczyć się systematycznie. I jeszcze jedno: w szkole średniej wymaga się więcej wiadomości. Należy je poszerzyć korzystając z dodatkowych lektur, audycji radiowych i telewizyjnych. Kochani! Musicie uwierzyć w siebie. Bardzo często brak wiary powoduje, że po drobnych porażkach człowiek się zniechęca i przestaje się uczyć. Nie przejmujcie się początkowymi niepowodzeniami. Oceny nie zawsze są odzwierciedleniem wiadomości. Nie należy wpadać w rozpacz, gdy stopnie są gorsze niż w szkole podstawowej. Życzę Wam wszystkiego najlepszego w nowej szkole i przyjemnych wakacji, po których będziecie już w drugiej klasie. „Ta z najstarszej".

Na razie tyle. Autorom opublikowanych wypowiedzi wysyłamy znaczki (Dorotę prosimy o adres). Jeśli nie chcecie, by w druku podawać Waszych nazwisk i adresów, zaznaczcie to w listach.

A jakie problemy miałaś Ty w pierwszej klasie? Jak je rozwiązałaś? Napisz do nas, a na kopercie koniecznie zaznacz „ECHO-SONDA".

ANNA PACIOREK

Raz na ludowo...

„Z rozkazania Ichmościów Burmistrzów sławetnego naszego miasta Żywca, jako i Panów Rajców i Starszyzny Cechowej prześwietnych i starodawnych cechów tutecznych – wszem wobec i każdemu z osobna, wiadomem czynimy i ogłaszamy, iż jako za ojców naszych bywało, wedle przywilejów przez królów polskich nam nadanych, na tym tu rynku żywieckim jarmark wielgi bydzie się odprawował. Na ten to jarmark prosiemy i zwołujemy wszystkich bratów rzemiosła wszelakiego jako sukienników, tkaczów, szewców, kaletników, kowali, rzeźników, cieślów, kuśnierzów i inszych z miasta naszego, a takoż miast postronnych i wsiów. Takoż kupców wszelkich, wędrownych, obwoźnych prosiemy, aby tu przybyli i przedawali towary swoje.

Sławetni Ichmości Burmistrzowie zezwolili, iżby dla większej sławy miasta i jarmarku tego, a dla wygody rzemieślników i kupców nijakie myta, cła i insze placowe opłaty w ten dzień na rynku żywieckim brane nie były. Ino Ichmościowie i Panowie Rada przykazują, coby towar był dobry i bez zbytecznej drogości przedawany.

Iżby zaś na jarmarku ochoty nie brakło, a i kupce i kupiciele siły swoje skrzepić mogli, tedy wedle rynku beczkę piwa wytoczylim, gdzie godny kufel sławnego napitku żywieckiego każdy jeden wypić może.

Tako więc tych, co przedawać chcieliby i tych, co kupować przyjdom, letników, górskich wędrowników, młodzieńców i panieneczki pieknie do nas prosiemy i w naszym grodzie w i t o m y!" (dak)

Fot. Zb. Bisanz

POD LODAMI ARKTYKI

Radzieccy badacze odnaleźli XVI-wieczny żaglowiec Barentsa

Od trzech lat grupa radzieckich badaczy prowadziła poszukiwania historycznego żaglowca, na którym w końcu XVI w. arktyczna ekspedycja, kierowana przez słynnego żeglarza holenderskiego Willema Barentsa, szukając północnej drogi do Indii odkryła Spitsbergen i jesienią 1596 roku utknęła w lodach nie opodal północno-wschodniego cypla Nowej Ziemi.

Historię tej wyprawy opisał w swym dzienniku jeden z uczestników ekspedycji Barentsa. Z jego notatek wynika, iż we wrześniu 1596 r. usiłując opłynąć od północy Wyspy Nowej Ziemi, żaglowiec ich natknął się na grube pola lodowe uniemożliwiające dalszą żeglugę. Nie mieli też już odwrotu. Korzystając z materiałów i narzędzi zgromadzonych na statku zbudowali na wyspie niewielki drewniany domek. Obłożyli go taflami lodu i postanowili poczekać do nadejścia wiosny. Tymczasem ściskane lodem burty żaglowca coraz wyżej i wyżej wyłaniały się ponad powierzchnię zmarzniętej, białej pustyni. Statkowi groziło w każdej chwili zmiażdżenie lub wywrócenie się na powierzchnię lodu. Gdy po 9 miesiącach daremnego oczekiwania, w czerwcu 1597 r. żaglowiec tkwił nadal w lodowych kleszczach, a zapasy żywności dawno już się skończyły – wyczerpani i schorowani żeglarze postanowili zbudować dwie małe łódki i dociągnąć je na odkryte morze. Ekspedycja zakończyła się tragicznie.

Jakie były dalsze losy porzuconego żaglowca Willema Barentsa? Odpowiedź na to pytanie dała zorganizowana przez radziecką telewizję i redakcję gazety „Trud" wyprawa naukowa. Młodzi badacze na podstawie dokładnego rozpoznania konfiguracji dna i kierunków prądów morskich ustalili, iż żaglowiec Barentsa nie mógł oddalić się od rejonu swojego uwięzienia i zatonął w pobliżu miejsca, w którym się znajdował po opuszczeniu go przez załogę.

Rozpoczęto bardzo trudne i długotrwałe poszukiwania na lądzie i pod warstwą lodu. W wiecznej zmarzlinie odnaleziono wreszcie resztki desek, bali i gwoździ, z których zbudowany był domek. Poszukiwania morskie utrudniał gruby lód, który przez cały rok skuwa wody okolic północnego cypla Nowej Ziemi. Mimo to badaczom udało się zlokalizować resztki żaglowca, które znajdują się na dnie wód zatoki lodowej.

Na konferencji prasowej zorganizowanej w redakcji dziennika „Trud" członkowie ekspedycji oznajmili, iż przygotowują następną wyprawę, która powinna zakończyć się wydobyciem żaglowca i dostarczeniem go do muzeum w Archangielsku, gdzie przeprowadzona zostanie jego rekonstrukcja.

Rewelacyjnym znaleziskiem radzieckich badaczy Arktyki zainteresowani są historycy wielu krajów, przede wszystkim Holandii i państw skandynawskich. Dotychczas żadne z wielu muzeów morskich w świecie nie ma w swej kolekcji żaglowca, który przeleżał pod lodami północnych mórz prawie 400 lat. **(kż)**

NUUUDNO...

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Jak było na obozie? Cudownie! Po pierwsze, to X. leży kilkaset kilometrów od morza, więc dla niektórych była to pierwsza okazja w życiu, żeby spróbować słonej wody. Pracowali tam i to się im podobało. Praca była niezbyt ciężka, może i niezbyt efektowna, ale potrzebna. Więc mają satysfakcję. I jeszcze jedno, obóz był taki... harcerski. Co to znaczy? No, nastrój był, ogniska i w ogóle; chętnie by pojechali i za rok. Jeśli zasłużą, bo jadą najlepsi.

Chwytam się tematu. Skoro ta grupa to najlepsi z kilkusetosobowego szczepu, chciałabym, żeby mi coś o swej pracy opowiedzieli. Czemu nie, chętnie! Skrobali ściany, przybijali deski, Andrzej ma na swym koncie sporą część instalacji elektrycznych, no – w ogóle przy harcówce wszyscy się napracowali naprawdę solidnie.

Czy robili coś innego poza urządzaniem harcówki? Milczenie. Czy jakieś kluby w szczepie działają? Żadne – mówi Michał. Dziwię się – jak to żadne, to nikt się tutaj niczym nie interesuje? Nie, kręcą głowami, jak to niczym, każdy się czymś przecież interesuje. Pytam Michała, czy nie chciałby pracować w jakimś klubie specjalnościowym. Chciałby, bardzo chciałby. W jakim? Michał zastanawia się, długo się zastanawia, nie wie. Bartek za to wie. On chciałby, żeby był taki klub, w którym ten, kto nie umie tańczyć mógłby się nauczyć różnych kroków i różnych tańców. Bartka popierają dziewczęta. że nie tylko chłopcy mają takie kłopoty, że wiele dziewcząt też i że taki klub, to byłaby bomba sprawa. Czy można by taki klub zorganizować? Kręcą głowami. Dlaczego? A kto by uczył? A czy nie ma w szczepie takich, co dobrze tańczą? Och, masa jest takich – Agnieszka, Zosia, Krzysztof doskonale tańczy. A czy nie zgodziliby się poprowadzić takich zajęć? Odpowiedź jest niemal chóralna – na pewno by się zgodzili, jakby im to zaproponować.

Jadwiga jest drużynową. Teraz już trzeci rok. Decyduje się na zabranie głosu. Że wcale nie jest tak dobrze, że wręcz przeciwnie – jest nie najlepiej. Bo... ludzie na zbiórki drużyny nie chcą przychodzić, każdy ma jakieś wykręty. Dlaczego? Jadwiga nie wie, ale właściwie, to chyba dlatego, że na zbiórkach jest nudno. Nudno – popiera ją Wojtek, drugi w tej grupie drużynowy. Reszta potwierdza: na zbiórkach jest nuuudno! Wojtek nawet wie dlaczego, trochę się kryguje, że może nie wypada, ale w końcu wypala – bo teraz harcerstwo jest mało harcerskie. Tak, tak, zgadza się, kiwają głowami, w tym cała rzecz – harcerstwo jest bardzo mało harcerskie.

Co to znaczy, że harcerstwo powinno być bardziej harcerskie? Co by ludzie ze szczepu chcieli robić zamiast tego, czego... nie robią, bo jest mało harcerskie? Jadwiga... nie wie. Andrzej? Andrzej... się nad tym nie zastanawiał. Wojtek? Wojtek gwałtownie się zastanawia. Wywołał temat, więc koniecznie chce szybko znaleźć jakąś odpowiedź. O, już ją ma – ja bym chciał, żeby tak moja drużyna mogła pojechać na biwak! Więc czemu nie jedziecie? My?! – zdziwienie Wojtka jest przeogromne – jak, w jaki sposób?!

Myślę, że spełnienie marzenia Wojtka nie jest zbyt skomplikowane. W jego drużynie ludzie mają po 16–17 lat, nianiek więc nie potrzebują. Dookoła X., w niedalekiej od niego odległości, jest wiele ładnych terenów, idealnie nadających się na biwak. W szkole jest sprzęt biwakowy (namioty 4-osobowe, kochery, nadmuchiwane materace, śpiwory) na ponad 100 osób, zakupiony lat temu kilka przez komitet rodzicielski w celu umożliwienia młodzieży rozwijania turystyki, a tak się jakoś złożyło, że nigdy nie było chętnych. Dziwne?!

Czy naprawdę dziwne? Chyba nie całkiem. Bo to przecież co innego marzyć o wyjeździe na biwak, a biwak zorganizować, albo narzekać, że człowiek by chciał na dyskotece poskakać, a dyskotekę urządzić (jest sprzęt w tym celu potrzebny, jest sala, żadnych sprzeciwów dyrekcji, która by chciała, aby szkoła była szkołą otwartą, do której uczniowie z przyjemnością przychodzą i na lekcje, i również po lekcjach). I marzenia, i narzekania mają jedną cechę wspólną – nie wymagają żadnego wysiłku. Więc wygodnie jest marzyć i narzekać, i mówić, że jest STRASZNIE NUUUDNO.

A ja się teraz zastanawiam, czy moi – bardzo sympatyczni zresztą i skądinąd wcale pracowici – rozmówcy będą potrafili w tym roku jakoś przezwyciężyć wszechogarniającą nudę. Tym bardziej, że jest to rok gorszy od ubiegłego – harcówka jest już urządzona, zostały tylko drobiazgi. Jedyna szansa, że ktoś im znajdzie jakieś nowe zajęcia.

MAŁGORZATA KOT

P.S. Całkiem świadomie nie wymieniłam prawdziwej nazwy miejscowości X. Ani przez moment nie było bowiem moim zamiarem publiczne napiętnowanie czy wyśmiewanie moich rozmówców. Zrelacjonowałam zaś swoją w X. wizytę tak szczegółowo, bo mam wrażenie, że daje ona sporo do myślenia również wszystkim innym drużynom i szczepom.

Wśród juhasów i bujtarów

Fotoreporter uparł się na ten temat. Ostatecznie nie po to tłukł się taki kawał na drugi kraniec Polski, żeby potem łatwo dać za wygraną! Jak nie chcę, mogę nie jechać, tylko żebym później nie żałowała! Hm... Co mam nie chcieć? Jadę! I nie pożałowałam!

Tuż przed pierwszymi wiejskimi chałupami w Polanie skręcamy z jako tako przyzwoitej drogi i trzęsiemy się po niemiłosiernych wybojach dziewięć kilometrów pod górę. Dalej, już piechotą, kawałek na skos – tam, jak ta krowa, z godnością przeżuwająca bogactwo kwiecia i ziół z bieszczadzkich połonin. Potem przez strumyk i błoto, znowu ciut pod górę, i oto jesteśmy na miejscu. Przed nami zbocze z widocznym jak na dłoni pobekującym inwentarzem, ciasno zbitym w gromadkę w prowizorycznej zagrodzie. Nieco bardziej na lewo dwa białe psy i leniwy obłok siwego dymu, dobywający się gdzieś spoza drzew. Właśnie trafiliśmy na czas dojenia...

Bacówka – męska rzecz

Maniek i Jasiek: A bo to oni nie są prawdziwi gospodarze? Juhasi całą gębą!

Jaśko – młody, czerstwy juhas w zawadiacko zsuniętym na tył głowy góralskim kapelusiku, białym półgolfie i dżinsowych portkach, mocno obejmuje kolanami spore, cynkowane wiadro. Część owiec już wydojona, leży spokojnie na zrytej kopytkami ziemi. Reszta, niecierpliwie czekając na swoją kolejkę, nerwowo napiera na furtkę, która – jak się wydaje – lada moment runie z hukiem, demolując cały, pożal się boże, daszek. Nie runie, nie runie. A od czego pomocnik Mietek, który kijem reguluje ruch, uważając, by więcej jak dwie owce na raz nie pchały się przez otwór. A tu już czekają Jasiek i Maniek, którzy kilkoma zręcznymi ruchami dopełniają wiaderka białym, spienionym mlekiem. Wydojenie trzystu z górą owiec to blisko półtorej godziny ciężkiej mordęgi, od której mdleją ręce i nabrzmiewają żyły na skroniach. A przecież i tak Jaśkowe stado nie jest wcale z tych największych. Takie samo ma jego ojciec – prawdziwy góral spod Nowego Targu, który również pasie, nie opodal Seredni Małych – w Czarnej Dolnej. To zresztą po nim Jasiek – jedyny spośród pięciorga dzieci syn – odziedziczył pasterskie zamiłowania, gdy głowa rodu Janiszków ożeniwszy się z panną spod Hrubieszowa postanowiła przed dwudziestu laty powrócić z rodziną „do gór".

– *Najwięcej owiec – też ze spółdzielni w Czarnej – mają na Połoninie Caryńskiej. Przeszło tysiąc sztuk, ale też i do roboty będzie tam z jedenastu chłopa... Tylko co z tego, kiedy im się ani sera, ani oscypków robić nie chce. Wszystkie mleko odstawiają do punktu. Nygusy i tyle...* – podsumowuje z wyraźną dezaprobatą Jaśko, kończąc dojenie ostatniej sztuki.

Dziś raniutko miał przyjechać weterynarz

... bo jedna owca padła. Jak by się kto pytał, mamy już dobrze po dwunastej, a lekarza jak nie było, tak nie ma. No, ale może jeszcze nadjedzie. Powiadomili przecież kogo trzeba – zgodnie z przepisami, bo za każdą straconą sztukę – jeśli by to się przydarzyło z ich winy – płacą trzy tysiące złotych. A to przecież ładny grosz, piechotą nie chodzi i jeszcze się zdrowo naharować trzeba, żeby wyjść na swoje.

Co się jej mogło stać? Nie wiadomo. Mało to chorób plącze się po świecie? A to motylica, a to kołowacizna, a już w najlepszym wypadku reumatyzm. Kuleje zresztą większość stada, i nie ma się czemu dziwić, bo przy tegorocznych ciągłych ulewach i zimnych nocach, tu, w Bieszczadach, człowiekowi ledwo przychodzi wytrzymać – chyba, że się czymś rozgrzeje – a co dopiero mówić o owcach! Zaraz je zresztą Mietek wypuści z zagrody i przepędzi wyżej, na drugą stronę strumyka, tylko jeszcze trzeba zawołać na psy.

Tymczasem Miśka i Limba – dwa okazałe, acz potulne jak baranki owczarki podhalańskie, aktualnie przejawiają ogromne zainteresowanie naszymi osobami i ani im w głowie zająć się stadem. Ogromną radość – kto wie, może również i na nasz widok – okazuje różowe „Ścisłe kierownictwo", które z szaleńczym kwikiem i pochrząkiwaniem pędzi w naszą stronę. Był w nim jeszcze do niedawna i „Dyrektor", a jakże! Ale podobno mocno uciążliwy – dość, że pozostało po nim jedynie wspomnienie w postaci uwędzonego połcia słoniny, grubej na trzy palce.

Minęło półtorej godziny

...i cztery pełne wiadra bielutkiego, spienionego płynu, stoją przed pękatą, drewnianą kadzią. Rozmiarami podobnej tym, w jakich mieściły się niegdyś z powodzeniem całe rodziny przodków, zażywających w ten właśnie sposób tradycyjnej, sobotniej kąpieli.

– *Co to teraz jest tego mleka...* – w głosie Jaśka dźwięczy wyraźne lekceważenie. *Ze trzydzieści litrów może będzie, więcej nie. Wiosną to się człowiek narobi – i po siedem wiader przynosiliśmy z Mańkiem z jednego udoju!*

I zaraz do Mietka:

– *Czego stoisz, daj no szmatę!*

Szmata, czyli biała, niemowlęca pielucha okrywa szczelnie wierzch kadzi, do której Maniek wlewa te „głupie kilkadziesiąt litrów". Jeszcze tylko dodać podpuszczki, no i spokój na jakieś pół godziny. Można usiąść i zapalić papierosa. Więc palą. Zaciągają się sportem godnie i bez pośpiechu, jak prawdziwi gospodarze. Jak juhasi pełną gębą. A bo to i tak po prawdzie nie jest? Przez te pięć miesięcy rządzą się tu przecież sami, jak potrafią. Po kawalersku, to prawda, bo obydwaj jeszcze nie pożenieni...

– *Ale nawet, jak by już co do czego przyszło, kobieta w bacówce nie ma czego szukać. W chałupie siedzieć, gospodarstwa i dzieci doglądać, a nie juhasowi nad głową trzeszczeć!*

Co do tego jesteśmy zgodni.

Mietek tymczasem łapie wiadra i leci popłukać je do studni. On wie, że teraz nic tu po nim. Pewno! Młody jeszcze jest, bujtar – znaczy się taki, co przed chrztem na juhasa. Do przyuczenia wzięty, żeby później – jak przyjdzie co do czego – i owce potrafił wydoić, i sera zrobić, i jedzenia ugotować. Bo jak będzie oferma – zginie marnie i nikt go do kompanii do pracy nie przyjmie. Pracy od świtu do nocy, od maja do października. W piątek, świątek, i w niedzielę. Skwar nie skwar, słota nie słota, a ty wychodź człowieku na dwór, choć byś i bardzo tego nie chciał. Samo dojenie trzy razy dziennie: o piątej rano, w południe, i przed dziewiątą wieczór. A jeszcze pokręcić się w obejściu, nakarmić inwentarz, zrobić coś koło siebie.

Podobno nie brak takich, co skuszeni możliwością zarobienia w sezonie dużych pieniędzy podpiszą ze spółdzielnią umowę na sezonowy wypas, a po dwóch miesiącach rzucają robotę w diabły, bo w żaden sposób nie mogą sobie poradzić. Wtedy pozostali w zespole juhasi, tak paskudnie wystrychnięci na dudka, spuszczają im tęgie lanie, co i tak nie zmienia faktu, że mają odtąd o wiele więcej roboty.

Jak tam mleko?

Pewnie się już ścięło. Jasiek pochylony nad kadzią zanurza w niej dłonie aż po łokcie, i na podsuniętą przez Mańka pieluchę nagarnia zręcznie grudkowatą masę. Jeszcze tylko zawiązać supeł i wielki – szesnastokilogramowy tobół sera można odwiesić na kołek, żeby tężał i obciekał.

Ja tymczasem delikatnie cedzę przez zęby chłodny, kwaskowaty płyn o ostrym zapachu, bo do produktów mlecznych mam stosunek z zasady niechętny. Owszem, żętyca to niby nie to samo, co butelkowe nasze powszednie, ale ileż wlać w siebie można tej żętycy, nie prowokując żołądka? Pół kubka, kubek rzeskiego, zielonkawo-białego płynu aż nadto! Dalej nie idzie...

A tu jeszcze Jaśko przynosi ogromną, zawiniętą w płótno bryłę, kładzie ją na stole i zręcznym kozikiem powoli, z namaszczeniem odkrawa równe plastry.

– *Proszę, niech się państwo częstują.* I podaje bieluśkie pajdy puszystego sera, co ledwo mieszczą się na rozłożonych dłoniach...

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **M. Szymański**

W warszawskiej klinice obrazów

AUTOPORTRET CZY FALSYFIKAT

Na środku pokoju duży stół, jasno oświetlony lampą bezcieniową. Na nim – kilka sypiących się ze starości obrazów. Panie w białych fartuchach delikatnie oskrobują płótna skalpelami. Sceneria jak w sali operacyjnej. Jesteśmy w pracowni konserwatorskiej Obrazów Nowożytnych Muzeum Narodowego w Warszawie.

„Na warsztacie" portret Włodzimierza Dzieduszyckiego pędzla Henryka Rodakowskiego, jednego z największych polskich malarzy XIX wieku. Pochylona nad portretem mgr Gabriela Lipkowa, główny konserwator, uważnie studiuje każde pociągnięcie pędzla artysty. Po żmudnych zabiegach potężna postać modela, opięta karminowym żupanem odżywa jakby na nowo.

Ta praca wymaga niesłychanej wręcz cierpliwości, dokładności, precyzyjności, a nawet... wstrzemięźliwości. Tu nie może ponieść temperament malarski konserwatora!

Kiedy wchodziłam do pracowni, sprasowywano jeden z obrazów... zwykłym żelazkiem! Czyżby nowoczesna technika jeszcze tu nie dotarła? Owszem. Jest dublażowy stół próżniowy, służący do podklejania zniszczonych płócien. Na podgrzany blat kładzie się warstwami: nowe płótno, mieszankę klejącą – z wosku pszczelego, żywicy damarowej, terpentyny weneckiej i plastifikatora, uelastyczniającego masę oraz stary obraz. Pod wpływem ogrzewania klej rozpuszcza się. Potem włącza się pompę próżniową powodującą równomierne wygładzanie powierzchni obrazu i sklejenie płócien. Żelazka jednak na pewno nie pójdą na złom. Niektóre obrazy są malowane np. impastowo, to znaczy mają nierówną fakturę, zamierzoną przez malarza, więc stół próżniowy wygładzając powierzchnię, mógłby całkowicie zniszczyć dzieło.

W warszawskiej klinice obrazów nie brak też aparatu rentgenowskiego, całej galerii mikroskopów, binokulara do widzenia przestrzennego, przeróżnych chemikaliów i aparatów fotograficznych. Przy pomocy aparatu rentgenowskiego najłatwiej wykryć czy obraz nie ma drugiej twarzy, często cenniejszej niż pierwsza, czy jest falsyfikatem czy nie? Przez wiele lat uważano np. autoportret Rodakowskiego za jego własne dzieło. Twierdzenie to podważyły dopiero dokładne badania rentgenologiczne wykazując, że farba jest kładziona inaczej niż zwykł to czynić wielki mistrz. W ustalaniu autorstwa pomagają też badania składu chemicznego farby. XIX wiek słynął na przykład z wielu wspaniałych nieraz i genialnych falsyfikatów XVII-wiecznych malarzy. Ale zdolni oszuści używali bieli cynkowej, zamiast ołowianej, której nie znano jeszcze w XVII wieku. Promienie rentgenowskie czułe są bardzo na te zmiany. Badania w ultrafiolecie potwierdzają lub obalają autentyczność sygnatury na obrazie.

Do pracowni Muzeum Narodowego nadeszła właśnie kolejna partia obrazów, które ozdobią sale Zamku Królewskiego. Ale zanim to nastąpi, wymagają jeszcze sporo pracy.

TERESA KWAŚNIEWSKA
(Interpress)

REDAKCYJNA POCZTA

Chyba nie tylko moją pasją są książki...

Książki czytam codziennie; nie wyobrażam sobie dnia bez książki. Bardzo lubię je czytać, gdyż dzięki książkom odrywam się od rzeczywistości, odbywam fantastyczne podróże, przeżywam wspaniałe przygody. Przy ich pomocy poznaję piękno nieznanych mi mórz, gór, jezior.

Tytuły moich ulubionych książek zmieniają się niemal codziennie. Ale jest kilka takich, o których zawsze będę pamiętać, są to: „Klawikord i róża", „Dawno i nieprawda", „Kapitanówna", „Przeminęło z wiatrem", „Zwyczajne życie", „Nawiedzony dom", „Słoneczniki", „Tajemniczy opiekun", „Zuzia", „Szesnaste lato Hanki"..... Mogłabym wymieniać bez końca. Systematycznie czytam „Świat Młodych" i dziwię się, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł założenia kącika fajnych książek (wiem, że wyraz „fajny" nie jest poprawny, ale jedyny, w którym mieszczą się wszystkie takie jak: „ciekawy", „interesujący", „dobry" itp.) Na pewno jest w Polsce więcej takich „moli książkowych" jak ja. Idea tego kącika polegałaby na wymianie tytułów książek. Od czasu do czasu ktoś mógłby się wysilić i np. napisać recenzję. Myślę, że jest to dobry pomysł.

Krystyna Staszczyszyn
57-100 Strzelin, Rynek 7/3
woj. wrocławskie

Poszukaj przyjaciół w domu

Mam 13 lat. Moi rodzice uważają, że jestem jeszcze dzieckiem. Kiedy chcę ubrać się według ostatniego „krzyku mody" mówią, że robię z siebie pannę. Ja uważam, że dziewczyna w moim wieku powinna wyglądać estetycznie i modnie. Nie wymyślam sukienek bardzo dorosłych, po prostu chcę ubierać się sportowo. Ponieważ moi rodzice chcą mieć „dziecko", nie mogę im wszystkiego mówić, bo by mnie wyśmiali, albo obsypali wymówkami. Poznałam ostatnio chłopca, który bardzo mi się podoba. Uważam, że jest miły i kulturalny. Myślę, że 13-letnia dziewczyna ma prawo do miłości. To moje uczucie nie jest chyba jeszcze miłością. Nie jestem pewna, czy ja mu się podobam. Gdy się widzimy, wymieniamy ze sobą spojrzenia i to wszystko. Proszę Cię redakcjo, pomóż mi wybrnąć z tej sytuacji, bo jak już napisałam, do rodziców nie mogę się zwrócić z tą sprawą.

Gośka

OD REDAKCJI: Jeżeli nie jesteś pewna, nie narzucaj się chłopcu, a inicjatywę zostaw jemu. Poważniejszym problemem są konflikty z rodzicami. Przyjaźni i miłości, do której jak piszesz masz prawo, powinnaś poszukać w domu. Czasami rodzice, zajęci swoimi sprawami, rzeczywiście przegapiają moment, w którym powinni podjąć dialog ze swoimi dziećmi. Zachęcamy Cię, abyś Ty sprowokowała rozmowę i tak nią pokierowała, by rodzice dostrzegli zmianę, jaka dokonała się od czasu, gdy byłaś w wieku przedszkolnym. (AS)

GWIAZDOZBIÓR

RICKY SCHRODER

najbardziej obiecujący z małych gwiazdorów

Już po raz trzeci sentymentalny bestseller wiktoriańskiej Anglii – „Mały lord" Frances Hodgson Burnett znalazł się na warsztacie filmowców. Książka napisana w 1886 roku już w 1889 doczekała się wydania polskiego i do dziś znajduje się na liście ulubionych lektur młodych czytelników obok „Małej księżniczki" i „Tajemniczego ogrodu". Jej autorka urodziła się w Anglii, ale już od 16 roku życia na stałe zamieszkała w Stanach Zjednoczonych. Pisała powieści i dramaty dla dorosłych i dla dzieci – ale spośród przeszło czterdziestu powieści – właśnie te, przeznaczone dla najmłodszych, przyniosły jej sławę.

Historia chłopca – Anglika wychowanego w Ameryce, który znajduje się nagle w zupełnie nowym środowisku, w nieznanym dla siebie kraju, w towarzystwie starego, zgryźliwego i wymagającego w stosunku do przyszłego spadkobiercy lorda jest pełna ciepła i pogody. Jej bohater – dobry, pełen uroku, bezpośredni w sposobie bycia chłopiec – to odmalowany przez Burnett portret jej najmłodszego syna – Viviana. Przydomek „mały lord" przylgnął zresztą do niego na całe życie. Kiedy w tragicznych okolicznościach zmarł – jako 61-letni człowiek, ratując tonących pasażerów jachtu – w gazetach pojawiły się w czarnych obwódkach tytuły: „Mały lord nie żyje!"

Wracając do filmowej wersji powieści. Pierwszą z nich był film niemy z 1921 roku. Małego lorda – czyli Ceddiego Errola zagrała w nim słynna 28-letnia (!) wówczas gwiazda Mary Pickford, która jednocześnie była w tym samym filmie jego matką. Kobiety niewielkiego wzrostu występujące w rolach chłopców nie były w tych czasach rzadkością, a szczególnie często praktykowano taką obsadę na scenie.

Po raz drugi „Małego lorda" nakręcono już w wersji dźwiękowej w 1936 roku. Tym razem w roli głównej obsadzono prawdziwe ówczesne cudowne dziecko ekranu, 11-letniego Freddiego Bartholomewa.

Trzeci kreator małego lorda – Ricky Schroder – nie jest bynajmniej debiutantem. Wystąpił w zeszłym roku w dużym amerykańskim filmie pt. „Champ" (można to przetłumaczyć jako czempion, mistrz), opowiadającym o męskiej, dojrzałej przyjaźni między synem i ojcem-bokserem, który porzucił ring, popadając w nałóg pijaństwa. Ta przyjaźń zmieniła ich życie. Prócz tego mały aktor zdążył już wystąpić w dwóch filmach wytwórni Walta Disney'a.

Ricky ma obecnie 10 lat, jest więc rówieśnikiem swojego bohatera z książki Burnett. Podobnie jak on urodził się w Nowym Jorku. Ceddi znalazł się w nowym dla siebie świecie arystokratycznej Anglii, a Ricky w nowym dla siebie świecie filmu... i obaj reagują podobnie – świetnym przystosowaniem do okoliczności. Dziesięcioletni aktor kwestię swojego identyfikowania się z graną postacią ujął krótko: *„Uważam, że mały lord był świetnym chłopakiem, więc myślę, że nie będzie mi trudno go zagrać"*

Jednak nie wszystko w swych aktorskich obowiązkach przyjmuje bez komentarza. Koronki, w których zmuszony był wystąpić „swędzą go" – jak twierdzi, a poza tym wychowany na płatkach kukurydzianych, popularnych w Ameryce corn flakesach, długo nie mógł zrozumieć, ba, nawet głęboko współczuł chłopcu, któremu na śniadanie zdarzało się jeść rybę. Ciężkie jest życie młodego artysty...

Obecnie przygotowywany „Mały lord", choć produkcji amerykańskiej, kręcony jest w Anglii w scenerii autentycznego XVII-wiecznego pałacu – Belvoir Castle i przez angielskiego reżysera Jacka Golda. Małemu Ricky partneruje poza tym jeden z najwybitniejszych aktorów angielskich, sir Alec Guinnes. Aktor ten został już odznaczony dwoma Oscarami. Pierwszy został mu przyznany za kreację w słynnym filmie „Most na rzece Kwai", a w zeszłym roku drugim uhonorowano całokształt jego osiągnięć aktorskich. Polski widz pamięta go z „Gwiezdnych wojen" – jako szlachetnego rycerza-maga – Ben Kenobiego.

Realizacja trzeciej wersji filmowej „Małego lorda" dobiega końca. Z pewnością zobaczymy ją i na naszych ekranach. Zobaczymy wtedy Ricky'ego w akcji, a warto, bo fachowcy przepowiadają mu błyskotliwą karierę. Na razie przedstawiamy Wam jeden z kadrów filmu: Ceddi żegna się na nim z matką, którą gra amerykańska aktorka Connie Booth.

Oprac. **EWA BIELSKA**
Fot. **archiwum**

Pejzaż na... plecach

Mam ważną wiadomość. Dla jednych przyjemną, dla innych – mniej, jak to na ogół z ważnymi wiadomościami bywa. Chodzi o to, że jeśli dziewczyna chce kroku modzie dotrzymać i same wystrzałowe rzeczy na grzbiecie nosić, a finanse człowieka nie rozpieszczają (a którąż to niby nastolatkę rozpieszczają?! Przecież nawet jeśli rodzina jest dobrze lub nawet lepiej niż dobrze sytuowana, to i tak się jest przecież od starszych w tym względzie zależnym), to nie ma innego wyjścia jak – d z i e r g a ć! Szydełkiem lub na drutach, a jeszcze lepiej przy pomocy obydwu tych „narzędzi". Tak się bowiem składa, że przeróżne rękodzielnicze tkaniny, to jest właśnie TO. Ten szał, ten styl, ten urok i w ogóle. Więc te z Was, które dziergać potrafią – niech się cieszą! Te zaś, które nie potrafią, pewnie się zmartwią. I nic dziwnego, ale – również nic straconego. To nie filozofia i każda przeciętna dziewczyna naprawdę jest w stanie tę umiejętność w stopniu wystarczającym dla zajęcia się własnym przyodziewkiem posiąść.

Więc gorąco Was do tego namawiam – nauczcie się władać szydełkiem i drutami! I od razu zastrzegam – nie przewiduję prowadzenia na łamach „Domu Mody" kursu dziergania. Jestem bowiem zdania, że naprawdę mało kto potrafi się tego nauczyć z książki (czy z gazety, jak w tym wypadku). Znacznie lepsze są ćwiczenia praktyczne pod okiem fachowca, który od razu może popełniane błędy czy niezręczności skorygować. A takim fachowcem może być każda osoba, która dziergać potrafi. Czy to mama, czy ciocia, czy sąsiadka któraś, czy koleżanka. Nie wątpię, że znacie te osoby doskonale i... zazdrościcie im od czasu do czasu różnych fajnych sweterków czy innych dziergadełek, które sobie zrobiły. Całkowicie tę zazdrość rozumiem, bo jest czego zazdrościć. Ale zamiast zazdrościć tylko, to może lepiej by było poprosić, żeby i człowieka też nauczyły, powiedziały jak to się robi, pokazały, podpowiedziały. Jedna, druga, nawet trzecia poproszona o to osoba, może oczywiście odmówić, tłumacząc się np. brakiem czasu. Nie zrażajcie się! Czwarta czy piąta w końcu się zgodzi. Można się uczyć dziergać indywidualnie (np. pod okiem własnej mamy), można również – i to chyba koncepcja ciekawsza – uczyć się tej umiejętności grupowo, powiedzmy w gronie koleżanek, które nie umieją dziergać pod okiem takiej koleżanki, która już potrafi. Albo pod okiem którejś z mam, która uczy nie tylko swoją córkę, ale i jej przyjaciółki. Myślę, że jest to np. całkiem niezły pomysł na kilka zbiórek zastępu harcerskiego.

Zresztą, postąpicie jak chcecie. Ja tylko wspomniałam, że umiejętność dziergania, to umiejętność na wagę niemal złota. A jeśli nie złota, to w każdym razie każdego dzierganego ciucha. Których będę teraz trochę prezentowała. Dziś pokazać Wam chciałam pulowery z... pejzażem. Strasznie atrakcyjne, nieprawda?! Pejzaż może być oczywiście różny, od fantazji rzecz zależy. Dwójka modeli na zdjęciu prezentuje pulower z pejzażem morskim i górskim. Ale może być i las jakiś stylizowany, i ogródek kwiatowy, i ulica miejska, i wiele innych. Widziałam kilka dni temu na ulicy dziewczynę w ogromnym pulowerze, który był obrazem wielkiego miasta w nocy – bryły drapaczy chmur na tle ciemnego nieba, a w niektórych oknach światło (jasne prostokąciki). Cały ten pejzaż był zresztą w formie prostokątów robiony, a więc stosunkowo prosty do wydziergania, nie macie pojęcia, jak to jednak pięknie i efektownie wyglądało.

Szłam za tą dziewczyną kilkaset metrów (w całkiem przeciwnym kierunku niż akurat powinnam), bo się napatrzeć na to cudo nie mogłam. I... zieleniałam z zazdrości. Ale już mi przeszło, bo sama zaczęłam coś podobnego sobie dziergać. Wy też przecież możecie.

RIUSZKA

CHCESZ ZDOBYĆ DOBRZE PŁATNY ZAWÓD I BUDOWAĆ HUTĘ „KATOWICE"

zgłoś się do Zespołu Szkół Budowlanych generalnego wykonawcy budowy huty „Katowice"

ZESPÓŁ SZKÓŁ BUDOWLANYCH PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWNICTWA PRZEMYSŁOWEGO „BUDOSTAL-4"
w Dąbrowie Górniczej, ul. Piaski, nr kodu 41-303, nr telefonu 64-12-68

OGŁASZA ZAPISY KANDYDATÓW
do klas I-szych Zasadniczej Szkoły Budowlanej dla Pracujących
na rok szkolny 1980/81

UCZNIOWIE MŁODOCIANI:
3-letni okres nauki
– ukończone 15 lat
1. technolog robót wykończeniowych w budownictwie
2. ślusarz-spawacz
3. mechanik maszyn budowlanych i kierowca
4. mechanik kierowca pojazdów samochodowych
5. ślusarz mechanik i kierowca
6. stolarz budowlany
– ukończone 16 lat:
7. technolog montażu w budownictwie

2-letni okres nauki
– ukończone 15 lat:
1. murarz-tynkarz
2. betoniarz-zbrojarz
3. monter wewnętrznych instalacji budowlanych
4. cieśla budowlany
5. malarz budowlany
6. posadzkarz

UCZNIOWIE PEŁNOLETNI (OHP)
2-letni okres nauki
– ukończono 18 lat:
1. cieśla budowlany
2. murarz-tynkarz
3. betoniarz-zbrojarz
4. malarz budowlany
5. posadzkarz
6. blacharz-dekarz
7. monter nawierzchni drogowych
8. monter konstrukcji żelbetowych
9. monter konstrukcji stalowych
10. ślusarz mechanik-kierowca

Uczniowie młodociani otrzymują bezpłatnie: zakwaterowanie w internacie, kurtkę i ubranie wyjściowe, obuwie i odzież roboczą, drugie śniadanie w dniach nauki i pracy oraz podręczniki szkolne. Uczniowie posiadający trudne warunki materialne, otrzymują również bezzwrotne zapomogi pieniężne. Uczniowie wyróżniający się w nauce i pracy są typowani na praktyki produkcyjne za granicą np.: do Jugosławii. Absolwenci ZSB mają możliwość wyjazdu na budowy zagraniczne. Młodzież korzysta z różnych form zorganizowanego wypoczynku jak: wycieczki, obozy szkoleniowo-rekreacyjne, wczasy zakładowe w atrakcyjnych miejscowościach. Ponadto ma możliwość uczestniczenia w sekcjach kulturalno-oświatowych w zależności od zainteresowań (np.: muzycznej, estradowej) oraz sekcjach sportowych. Zainteresowani mogą ukończyć kurs spawalniczy, operatora itp.

MIESIĘCZNY ZAROBEK UCZNIA MŁODOCIANEGO WYNOSI:
a) w zawodzie: technolog montażu w budownictwie i technolog robów wykończeniowych w budownictwie
– w klasie pierwszej 520,- zł
– w klasie drugiej 1.000,- zł
– w klasie trzeciej do 2.000,- zł
w zależności od rodzaju wykonywanej produkcji
b) w zawodzie: cieśla budowlany, murarz-tynkarz, betoniarz-zbrojarz, malarz budowlany, posadzkarz
– w klasie pierwszej 375,- zł – 520,- zł w zależności od wieku
– w klasie drugiej 780 – 2.000,- zł w zależności od rodzaju wykonywanej produkcji
c) w zawodzie: monter wewnętrznych instalacji budowlanych
– w klasie pierwszej 300 – 360,- zł w zależności od wieku
– w klasie drugiej 780 – 2.000,- zł w zależności od rodzaju wykonywanej produkcji
d) w zawodzie: mechanik maszyn budowlanych
– w klasie pierwszej 260 – 360,- zł w zależności od wieku
– w klasie drugiej 420 – 480,- zł w zależności od wieku
– w klasie trzeciej 780 – 2.000,- zł w zależności od rodzaju wykonywanej produkcji
e) w zawodzie: mechanik kierowca, ślusarz-spawacz, ślusarz mechanik, stolarz budowlany
– w klasie pierwszej 260 – 300,-zł w zależności od wieku
– w klasie drugiej 360 – 480,- zł w zależności od wieku
– w klasie trzeciej 780 – 2.000,- zł w zależności od rodzaju wykonywanej produkcji.

Uczniowie 18-letni zgrupowani są w Ochotniczym Hufcu Pracy Nr 13-9. Zasady przyjęcia do Hufca i wynagradzania przesyłane są odrębnie zainteresowanym.
Miesięczny zarobek ucznia junaka OHP ustalany jest w oparciu o obowiązujące zasady wynagradzania pracowników zatrudnionych przy takich samych pracach na budowie Huty „Katowice".
Podanie o przyjęcie do Zasadniczej Szkoły Budowlanej należy składać w terminie jak najszybszym na adres szkoły.

Do podania należy dołączyć:
1. świadectwo ukończenia szkoły podstawowej
2. świadectwo lekarskie o zdolności do zawodu i kartę szczepień
3. metrykę urodzenia do celów meldunkowych w internacie (z potwierdzeniem stałego miejsca zamieszkania)
4. dwie fotografie

Absolwenci ZSB mogą kontynuować dalszą naukę w systemie wieczorowym w 3-letnim Technikum Budowlanym, wchodzącym w skład Zespołu Szkół Budowlanych PBP „Budostal-4". DOJAZD DO SZKOŁY Z CENTRUM DĄBROWY GÓRNICZEJ TRAMWAJEM NR 21 W KIERUNKU HUTY „KATOWICE" – WYSIADAĆ PRZY PRZEDSIĘBIORSTWIE „TRANSBUD-2" LUB AUTOBUSAMI NR 86, 18 – WYSIADAĆ NA PRZYSTANKU ZAJEZDNIA WPK W GOŁONOGU.

K-161

NASZ CHLEB POWSZEDNI

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

nie powinien oddzielać najdelikatniejszej mąki od razowej, gdyż mąka delikatna ma działanie zamykające, gruba natomiast oczyszczające i otwierające. Chleb razowy jest zdrowszy i pożywniejszy od białej bułki. Po rozdzieleniu mąki grubej od delikatnej żadna z nich nie ma pełnej wartości". Rzeczywiście, najcenniejsza – choć nie przez wszystkich lubiana – jest mąka razowa.

P R S – to już kres:
Z młyna piekarz mąkę bierze
I na rozczyn rzuca w dzieżę.

Do wypieku różnych rodzajów pieczywa używa się innej mąki lub mieszanek – np. w chlebie „sandomierskim" jest więcej mąki żytniej, w „nałęczowskim" tyle samo co pszennej...

W dzieżach wygniata się mąkę z wodą, solą, drożdżami i starym surowym ciastem – zakwasem i odstawia w cieple na pewien czas, aby drożdże dokonały swego dzieła. Następuje fermentacja, wydziela się dwutlenek węgla, ciasto „rośnie", a skutek jest taki, że chleb jest pulchny i smaczny.

T U W – i co tchu
W piec ogrzany wkłada ciasto,
By chleb miały wieś i miasto.

Surowe ciasto jest niesmaczne i niezdrowe (ale kto nie wyjadał surowego ciasta na babkę?), po upieczeniu szara masa staje się złocistobrązowa, skórka chrupka, miękisz smaczny. To wysoka temperatura pieca – 300°C (temp. skórki chleba podczas wypieku 200°C, wnętrza bochenka 110°C) powoduje zmiany chemiczne. Część skrobi z mąki przechodzi w dekstryny, białka się ścinają, cukier karmelizuje. Od składu mąki i stopnia jej zmielenia, od mieszanek, dodatków, czasu i temperatury wypieku zależy jaki jemy chleb: mazowiecki, sandomierski, łęczycki, zakopiański, litewski, razowy, sitkowy, Grahama, pumperikiel, itd. itd.

X Y Z – zjesz chleb wnet.
Lecz patrz, ile rąk potrzeba,
Aby mieć bochenek chleba!

Właśnie! Szanujmy więc każdy jego kawałek! A teraz powiedzcie sami, czy nie jest ładne to stare „abecadło"?

KRZYSZTOF GUTORSKI

SUPERNOWA z roku 1408

Zapisy dawnych kronikarzy są niekiedy źródłem niezwykle cennych informacji o charakterze astronomicznym. Wystarczy wspomnieć o supernowej z roku 1054, pozostałością której jest znana mgławica Krab w Byku i znajdująca się w jej wnętrzu gwiazda neutronowa. Stwierdzono to właśnie na podstawie starych zapisów znalezionych w chińskich i japońskich kronikach. Dzięki nim oraz dziś jeszcze przebiegającym w mgławicy Krab procesom astrofizycy mogli poznać jeden z końcowych etapów ewolucji gwiazd. Czyżby historia miała się powtórzyć w odniesieniu do źródła rentgenowskiego Cygnusx-1?

Powyższe źródło promieniowania rentgenowskiego identyfikowane jest z obiektem posiadającym cechy, jakie – zgodnie z teorią – winna mieć typowa „czarna dziura". Nie byłoby może w tym nic dziwnego, gdyby nie hipoteza, z którą ostatnio wystąpił chiński astronom Li-Qi-bin w oparciu o zapisy dawnych kronikarzy. W dziewięciu niezależnych od siebie źródłach znalazł on wiadomość o „narodzeniu się nowej gwiazdy", mającej – jak się wydaje – ścisły związek z obiektem Cygnus X-1. Jedno z tych źródeł znane już było dawniej, ale je błędnie datowano. Dopiero po odkryciu pozostałych można było stwierdzić, że historia dynastii Ming (panowała w latach 1368–1644) zawiera następującą informację: Za panowania Jong-le, roku szóstego, miesiąca dziewiątego, dnia geng-chan (według naszej rachuby czasu był to 24 październik 1408 roku). Na południowy wschód od konstelacji Niando (gwiazdozbioru Liry pojawiła się gwiazda tak jasna jak lampa świecąca żółtym i gładkim światłem.

Trzy ze wspomnianych wyżej zapisów kronikarskich znaleziono w archiwach cesarskich i najprawdopodobniej oparte są o obserwacje wykonane w Pekinie. Pozostała część pochodzi od kronikarzy z okolic Szehungu (południowo-zach Chiny), którzy blask „nowej" też porównywali z blaskiem lampy, ale barwę jej blasku określali jako niebiesko-białą. Natomiast według niedawno odkrytych zapisów kronikarzy japońskich „nowa" miała pojawić się już 14 czerwca, z czego należałoby wnioskować, iż gołym okiem była widoczna dłużej niż 102 dni.

Te lakoniczne z pozoru sprawozdania dostarczają wiele interesujących informacji o „nowej". Przede wszystkim jej położenie na niebie sugeruje, że pozostałością tego zjawiska może być wspomniane źródło promieniowania rentgenowskiego Cygnus X-1. Pozostaje jedynie ustalić, czy mamy tu do czynienia ze zwykłą „nową", czy też raczej w 1408 rozbłysła na niebie „supernowa"? Ta druga ewentualność – zdaniem Li-Qi-bina – wydaje się być bliższa prawdy. Musiał to być bowiem bardzo jasny obiekt, skoro obserwatorzy porównywali jego blask do lampy, a nie do świecącej w niedalekim sąsiedztwie Wegi (alfa Lyr). Przemawia za tym również uwaga o „gładkim blasku", co po prostu może oznaczać brak fluktuacji światła „nowej gwiazdy". To zaś możliwe jest tylko przecież w przypadku bardzo jasnych obiektów i odpowiedniego stanu atmosfery. A zatem wszystko przemawia za alternatywą, że Chińczycy i Japończycy obserwowali w roku 1408 wybuch supernowej.

Identyfikacja hipotetycznej supernowej z roku 1408 ze źródłem Cygnus X-1 może mieć ogromne znaczenie dla astrofizyki. Według bowiem większości dotychczasowych teorii przy wybuchu supernowej tworzy się gwiazda neutronowa, a nie „czarna dziura". Tymczasem masa obiektu rentgenowskiego Cygnus X-1 ma być dziesięciokrotnie większa od maksymalnej masy gwiazd neutronowych i odpowiada raczej teoretycznej masie „czarnej dziury". Już z tego choćby powodu dalsze badania obiektu ukrywające się pod kryptonimem Cygnus X-1 są dla astronomii tak ważne.

Andrzej Kopeć
ul. Poległych 3
42-431 Zawiercie-Bzów

Iwona Jochura z Częstochowy, a także wielu innych Czytelników, proszą o podanie lektur z dziedziny astronomii, ale takich, które byłyby ciekawe i na początek niezbyt trudne. Zadanie o tyle trudne, że książki takie, jeśli się tylko pojawią w księgarniach, natychmiast znikają z półek. Polecałbym np. książki Hoimara Ditfurtha „Dzieci Wszechświata" i „Na początku był wodór", ale można je zdobyć obecnie tylko w bibliotekach. To samo dotyczy bardzo dobrej pozycji Woroncowa-Weliaminowa pt. „Wszechświat". Moja rada – jeśli ktoś interesuje się astronomią, musi częściej odwiedzać księgarnie i „polować" na nowe pozycje lub wznowienia.

Prezes TOMIKA ST. BOROWIECKI

Odkrycie kolejnego szesnastego księżyca Jowisza

Amerykańska Agencja d/s Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej NASA poinformowała, że zdjęcia wykonane przez sondy kosmiczne „Voyager 1" i „Voyager 2" umożliwiły odkrycie kolejnego, szesnastego satelity Jowisza. Jest to już trzeci satelita odkryty dzięki danym, które uzyskano podczas zeszłorocznego zbliżenia się sond do tej planety. Otrzymał on numer identyfikacyjny 1979 J3.

Zdaniem naukowców z „Jet propulsion laboratory" satelita ma średnicę około 40 km, a jego okres obiegu wokół Jowisza wynosi 7 godzin, 4 minuty i 30 sekund. Jego orbita znajduje się w odległości około 56 tys. km od powierzchni chmur otaczających Jowisza.

W numerze 102 „ŚM" z 2 września br. zamieściliśmy, w TOMIKU aktualny zestaw wszystkich znanych księżyców w naszym Układzie Planetarnym, bez oczywiście tego ostatniego odkrycia. W najbliższym czasie należy się spodziewać kolejnych odkryć, tym razem wokół Saturna.

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Teorią względności, kosmologią, możliwością istnienia życia we wszechświecie interesuje się: **Grzegorz Piorun** (16 l.) ul. Warciana 19c, 63-200 Jarocin. Astrofizyką i astronomią teoretyczną (z osobami zaawansowanymi w tej tematyce, prowadzącymi samodzielne dociekania): **Waldemar Puszkarz**, Rozbórz 293, 37-200 Przeworsk. Astronomią ogólną: **Andrzej Jarentowski** (13 l.) ul. Zgodna 2/31, 62-800 Kalisz; **Wiesław Stachuła** (15 l.), ul. Czarnieckiego 55, 63-400 Ostrów Wlkp. Astronomią obserwacyjną, fantastyką: **Jerzy Poprawa** (16 l.), ul. Przestrzenna 32/12, 50-533 Wrocław. Astronomią, zagadką Trójkąta Bermudzkiego, S-f oraz UFO: **Dorota Szram** (14 l.), ul. G. Morcinka 18/1, 41-902 Bytom; **Grzegorz Augustyński** (14 l.), ul. Chwołki 70, 27-600 Sandomierz.

UWAGA: Zgłaszając swoje nazwisko do Kącika Korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań: dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

KATASTROFA KOSMICZNA PRZYCZYNĄ WYGINIĘCIA DINOZAURÓW

Z bardzo ciekawą hipotezą wystąpili Litus W. Alvarez i jego koledzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Twierdzą oni, że przyczyną wyginięcia wielkich dinozaurów była katastrofa kosmiczna na przełomie kredy i trzeciorzędu. Według ich hipotezy dużych rozmiarów planetoida, której średnica wynosiła od 7 do 10 km, uderzyła w Ziemię, wybiła krater o średnicy około 175 km. Taki upadek spowodował wyrzucenie bardzo dużej ilości materiału do atmosfery ziemskiej. Eksplozja prawdopodobnie miała siłę 100 milionów megaton. Siłę takiej eksplozji możemy sobie uświadomić jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że była ona milionkrotnie większa niż wybuch największych istniejących bomb wodorowych. Pewien procent wyrzuconego materiału, który dostał się do atmosfery utworzył w niej dość grubą warstwę pyłu, która utrzymywała się tam przez pewien okres czasu wynoszący od 3 do 5 lat. Taka warstwa pyłu spowodowała ciemności na powierzchni Ziemi, w związku z czym reakcje fotosyntezy w roślinach były niemożliwe. Dlatego zwierzęta o większej masie ciała wyginęły, a pozostały mniejsze organizmy, chociażby takie jak wczesne ssaki.

Na poparcie swej hipotezy Alvarez przeprowadził różnego rodzaju badania. Mianowicie zbadał on materiały sprzed 5 milionów lat, które pochodziły z doliny Gubbio we Włoszech, a także z okolic Kopenhagi. Odkrył on w cienkiej warstwie gliny z tamtego okresu aż 25-krotnie większą zawartość irydu niż w materiałach, które znajdowały się pod tą i nad tą warstwą. Następnie przeprowadził badania skał w Holandii, Hiszpanii i w Stanach Zjednoczonych. Dokonał także badań rdzeni, które zostały wydobyte z dna morskiego i pochodziły z przełomu kredy i trzeciorzędu. Wszystkie te badania potwierdziły istnienie o wiele większej ilości irydu w materiałach z tamtego okresu niż w pozostałych sprzed lub po tym okresie. A więc całą powierzchnię Ziemi w tym okresie pokrywała taka warstwa pyłu.

Innym dowodem potwierdzającym hipotezę Alvareza jest fakt, że na Ziemię średnio raz na 100 milionów lat spada ciało – planetoida o średnicy kilkudziesięciu km. Jeżeli ostatni upadek miał miejsce 65 milionów lat temu, to przedostatni miał miejsce około 225 milionów lat temu. Odstępy pomiędzy nimi odpowiadałyby z grubsza odstępom czasu, w których nastąpiły ogromne zagłady żywych organizmów na Ziemi. A więc czyżby do końca została wyjaśniona zagadka tajemniczego wyginięcia dinozaurów na naszej planecie?

Mirosław Mieszała
ul. Powst. Warszawy 9-9
32-600 Oświęcim

giem, detektyw w uniformie szedł tuż za nim; uważaliśmy bowiem za wskazane mieć pod ręką pomoc policyjno-prawną, gdyby tego zaszła potrzeba.

Wicklow poszedł ku stacji kolejowej i czekał aż do przyjścia pociągu z Nowego Jorku, tam stanął z wlepionemi w tłum oczyma. Podeszły wiekiem pan, w zielonych okularach, oparty na lasce wyszedł z wagonu, stanął przy Wicklowie i przypatrywał mu się uważnie! W tej chwili Wicklow wysunął się naprzód, wcisnął starcowi do ręki jakiś papier i w jednej chwili znikł. Ale w tej chwili miał już Stern list ten w swym ręku, a odchodząc powiedział do detektywa:

– Idź pan za tym staruszkiem i nie strać go pan z oczu.

Potem pospieszył do fortu.

Usiedliśmy przy zamkniętych drzwiach poleciwszy straży, by nikogo nie wpuszczała.

Najpierw otworzyliśmy list znaleziony w stajni.

Brzmiał on tak:

„Święte przymierze. Znalazłem w zwykłej armacie rozkazy mistrza, przyniesione tamże ostatniej nocy.

Poprzednie instrukcje wykonane. W armacie zostawiłem znak, oznaczający, że rozkazy doszły właściwych rąk..."

Webb przerwał: A więc chłopiec nie jest pod ustawicznym dozorem?

Potwierdziłem pytanie; od ostatniego listu strzeżono go skrupulatnie.

– Jakżeż mógł coś z armaty wziąć lub tam położyć, nie będąc widzianym?

– Nie pojmuję tego – odrzekłem.

– Ja także – dodał [illegible] Chyba, że wśród straży są także sprzysiężeni. Bez porozumienia z nimi stać się to nie mogło.

Kazałem zawołać Rayburna i poleciłem mu zbadać baterie oraz donieść nam co znalazł.

Potem zaczęliśmy czytać dalej:

„Nowe rozkazy polecają, aby M.M.M.M. stał jutro o godzinie 3 rano F. F. F. F. F. W małych oddziałach, koleją lub w inny sposób przybędzie dwustu z różnych stron i zbiorą się na oznaczonem miejscu. Rozdzielę odznaki, skutek pewny, chociaż coś z pewnością zauważono, bo straże podwojone, a komendanci obchodzą je nocą. W. W przybywa dziś z południa i dostanie tajemne polecenie inną drogą. Wy wszyscy, razem sześciu, musicie koło 166 punktualnie o drugiej z południa być. Znajdziecie tam B.B., który wam da dokładne instrukcje. Hasło to samo co ostatnim razem, tylko odwrócone; pierwsza zgłoska na końcu ostatnia na początku. Remember XXXX. Nie zapomnijcie. Bądźcie dobrej myśli; zanim zacznie dnieć, będziecie bohaterami. Przeznaczenie wasze postanowione; w historyi zajmiecie piękną kartę. Amen."

– Do krocset bomb! – krzyknął Webbs. – Jak widzę, to się tu na dobre gotuje.

Byłem zdania, że to nie wchodzi na razie w grę, ale sprawa zaczyna być poważną. Jasnem bowiem było, że tejże nocy miały zajść ważne wypadki. Trzeba im było prędko i energicznie zapobiedz.

Dalej byłem zdania, że niewiele się przyda dalsze śledzenie Wicklowa. Musimy się zaraz dowiedzieć, gdzie się „166" znajdują, aby tę bandę o drugiej po południu dostać w swe ręce. Najkrótszą do tego drogą wydawało mi się wyciągnięcie zeznań z chłopaka. Przede wszystkim trzeba jednak było uwiadomić o wszystkim departament wojskowy i prosić o pełnomocnictwo.

Zredagowano szyfrowaną depeszę, przeczytałem ją i odesłałem.

Skończyliśmy sprawę z leżącym listem i otworzyliśmy drugi, który odebrano temu starszemu panu. Nie było tam nic, prócz kilku arkuszy czystego papieru.

Było to oblanie nas zimną wodą. Nagle uczuliśmy się tak pustymi, jak papier. Dwa razy tak głupimi. Ale tylko chwilę! Gdy zaraz pomyśleliśmy, że list napisany jest tak zwanym, „sympatycznym" atramentem.

Trzymaliśmy papier przy ogniu, czekając, czy pod wpływem gorącą ukażą się litery, nie znaleźliśmy nic, prócz kilku małych znaków i wykrętasów bez żadnej dla nas wartości.

Wezwaliśmy lekarza, żądając od niego, aby użył wszystkich znanych sobie środków celem wywołania pisma i podania nam jego treści. Przeszkoda w odczytaniu listu była wprost nieznośną. A spodziewaliśmy się zebrać zeń dużo a dużo wiadomości.

Właśnie przyszedł sierżant Rayburn i z kieszeni wyjął kawałek skręconego sznura, długiego na stopę i mającego trzy węzły. Trzymając go do góry, objaśnił, że znalazł go w armacie, po stronie wody. Wyciągałem wszędzie ładunki – mówi Rayburn – i badałem zamki; sznur ten był jedynym drobiazgiem ze wszystkich kanonów.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Małek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

5997/G O-65

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-581

W następnym numerze:

- Manipulacja genami, czyli rewolucja w biologii
- „Byłem Maratończykiem" – nasz redakcyjny kolega stanął na starcie II Maratonu Pokoju. Chociaż „spuchł" i nie wygrał, ale jego czas 4 godz. i 41 minut nam w redakcji wydał się wcale, wcale...
- Kontynuujemy naszą redakcyjną rozmowę. Tym razem tematem SZCZEROŚĆ

MARK TWAIN

CIEKAWE ZDARZENIE 3

Tłum. Kazimierz Piotrowski

Rozważyłem z Webbem gruntownie całą sprawę. Webb zauważył: – Szkoda, że mu przerwano. Coś odkładają, co? Może byłby się wygadał, ten niepozorny malec.

– Tak! – rzekłem – mamy nie lada zagadkę przed sobą. Ale kto to ci „my??" Czy sprzysiężeni we forcie czy poza nim?

Ci „my" zaintrygowali nas jeszcze bardziej. Trzeba się było mądrze wziąć do rzeczy. Naprzód postanowiliśmy podwoić straże i nakazać im jak największą czujność. Potem trzeba było Wicklowa zawołać i zmusić go do zupełnego wyznania. Ale to wydało się nam niedobrem, trzeba było czekać aż nagromadzi się więcej poszlak. Trzeba było przyjść w posiadanie większej ilości listów i dopiero ułożyć plan całego dalszego postępowania. Nagle przyszła nam do głowy ciekawa myśl. Wicklow nie chodził nigdy na pocztę – czy ta opuszczona stajnia nie była jego pocztą? Kazałem przywołać jednego z najzaufańszych podwładnych, Niemca, nazwiskiem Stern, który był jakby urodzonym detektywem. Opowiedziałem mu wszystko i dałem polecenie wziąć się do roboty. W godzinę później zameldowano nam, że Wicklow znowu pisze. Wnet prosił o pozwolenie wyjścia na miasto. Zatrzymałem go chwilkę; Stern tymczasem pobiegł ku stajni i skrył się tam. Wkrótce ujrzał nadchodzącego Wicklowa; oglądał się dokoła bojaźliwie i włożył coś pod kupę śmieci w kąciku. Cicho oddalił się. Stern chwycił ukryty przedmiot – był to list – i rozerwał go. Pismo nie miało podpisu i zawierało powtórzenie tego, cośmy właśnie czytali, nadto ciąg dalszy.

„Sądzimy, że najlepiej będzie odłożyć wszystko aż do chwili, aż te dwie kompanie odejdą. Ja zaś myślę, że tego samego mniemania są i inni czterej, z innymi nie mogłem się porozumiewać, bo by to mogło wzbudzić podejrzenie. Mówię o czterech, bo dwóch straciliśmy; tych po zarekrutowaniu przeniesiono tu, ale wnet wysłano ich na plac boju. Byli to bracia Thirty-mile Point; trzeba ich innymi zastąpić. Mam ważne rzeczy wam donieść, ale nie chcę tego robić na tej drodze. Znajdę inną".

– To łajdak! – zawołał Webb – kto by pomyślał, że ten malec jest szpiegiem? Ale mniejsza o to, mówmy o sprawie samej. A więc mamy wśród nas szpiega, którego dobrze znamy. Po drugie mamy trzech innych, których nie znamy, po trzecie, wszyscy dostali się do nas w ten sam sposób, zaciągnąwszy się jako żołnierze. Po czwarte są i inni pomocnicy poza frontem, których liczby nie znamy. Dalej Wicklow ma im coś ważnego zakomunikować, a nie chce tego zrobić na tej drodze, lecz w inny sposób. Tak więc rzeczy stoją. Mamyż więc teraz zmuszać go do wyjawienia wszystkiego? A może schwytać osobę, która odnosi listy ze stajni, i zmusić ją do wyznania? A może jeszcze będzie lepiej dowiedzieć się więcej?

Zgodziliśmy się na to ostatnie. Przyjęliśmy za zasadę, że nie powinniśmy jeszcze działać stanowczo, bo sprzysiężeni chcą poczekać, aż dwie kompanie piechoty odmaszerują. Stern dostał zupełne pełnomocnictwo, a nadto poleciliśmy mu znaleźć tę inną drogę Wicklowa.

Miał też pójść do stajni i położyć jego list na tem samem miejscu, aby go sprzysiężeni mogli znaleźć.

W nocy nic się nie zdarzyło. Było zimno, padał deszcz ze śniegiem, a wiatr dął przeraźliwie! Nie przeszkodziło mi to jednak wstać z ciepłego łóżka, aby się przekonać czy straże spełniają swe obowiązki.

Znalazłem wszystko w porządku. Pogłoska o tajemniczych niebezpieczeństwach znalazła potwierdzenie przez podwojenie straży. Nad ranem spotkałem Webba, kroczącego śmiało mimo burzy i wiatru. Od niego dowiedziałem się, że wraca właśnie z takiej samej jak ja inspekcji i że wszystko znalazł w porządku.

Następnego dnia szły wypadki jakoś raźniej. Wicklow pisał znowu list, Stern szedł za nim aż do stajni i zabrał list, skoro tylko Wicklow był na drodze.

Potem wyszedł ze stajni i szedł w pewnem oddaleniu za małym szpie-

Dokończenie na str. 7